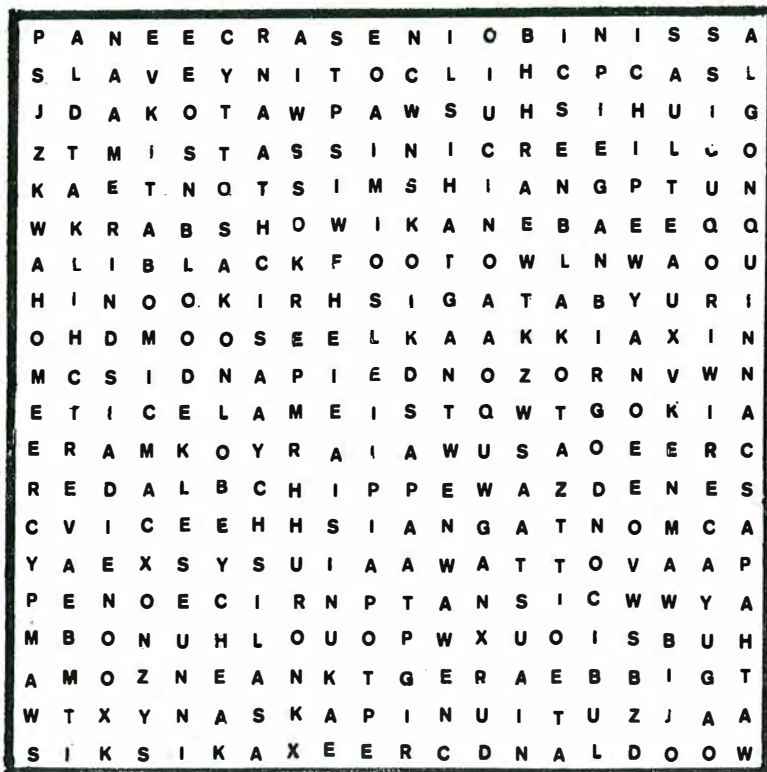


## NA TROPIE KANADYJSKICH INDIAN

Wyleź wzrok i w gąszczu liter spróbuj odszukać jak najwięcej nazw plemion i grup tubylczych, zamieszkujących Kanadę. Nazwy mogą być pisane pionowo, poziomo oraz po przekątnych. Dla wytrwałych podajemy, że jest ich w sumie 48 - w tym np. pięć odłamów Indian Cree. Ponieważ krzyżówkę tę drukujemy za indyjskim magazynem JUNIOR WINDSPEAKER z Kanady, musieliśmy pozostawić oryginalną - tj. angielską - pisownię wszystkich nazw. Zachęcamy do korzystania z lektur pomocniczych oraz do powracania do poszukiwań po pewnym czasie. Proponujemy organizowanie zawodów (także korespondencyjnych) oraz nadsyłanie do nas najlepszych rozwiązań - postaramy się je nagrodzić. Zachęcamy Was także do poszukiwania oraz tworzenia własnych krzyżówek, zagadek itp. i nadsyłania ich do naszej Redakcji.



# TAWACIN

PRZEGLĄD POLSKIEGO RUCHU PRZYJACIOŁ INDIAN



Autorem krzyżówki jest Charles Mills, a nadesłał ją nam W. Kołeczek.

Im rzadziej ukazują się kolejne numery Przeglądu PRPI, tym trudniej zdecydować się nam co do jego ostatecznej zawartości i tym więcej ważnych w jakimś momencie spraw odchodzi w przeszłość bez odnotowania. Można walczyć z upływem czasu i ograniczeniami materialnymi, ale zwycięstwa bywają tylko drobne i tymczasowe. Dlatego dobrze jest wystrzegać się zarówno zniechęcenia, jak i nadmiernego optymizmu. I robić to, co się da. A w praktyce?

Do wydarzeń, które na odnotowanie zasługują, należało z pewnością robocze spotkanie w poznańskiej "Orbicie" 17 i 18 marca. W rzeczywistości, jak na nasze dotychczasowe zwyczaje, sposób omówiono w gronie ponad 30 osób kilka ważnych nie tylko dla nas i aktualnych (przynajmniej na wiosnę) spraw.

Na spotkaniu przedstawiono m.in. nabierającą wreszcie realnego kształtu koncepcję legalnego stowarzyszenia, którego rejestracja i zebranie założycielskie oczekiwane są jeszcze w kwietniu w Białymstoku. Prawdopodobnie, kiedy będziecie czytać te słowa, założyciele legalnego już Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian (Polish American Indian Friends' Association) będą oczekiwać na nowych członków i ich inicjatywy (sami - mamy nadzieję - dając dobry przykład). Wszystkich zainteresowanych odsyłamy na razie do Jerzego Toktaczki, skr. poczt. 4, 15-472 Białystok 21.

Ze sporym zainteresowaniem przyjęto na spotkaniu informacje o rozpoczęciu przygotowań do Świętego Biegu na Rzecz Ziemi i Życia - Europa 1990. Jego indiańscy i buddyjscy uczestnicy (kierowani przez Dennisa Banksa) zamierzają w sierpniu i wrześniu b.r. przebiec niemal całą Europę z Londynu do Moskwy, licząc na współpracę i kontakty z ludźmi zainteresowanymi obroną pokoju, Matki Ziemi i kultury tubylczych Amerykanów. W Polsce zamierzają oni pójść ze Zgorzelca przez Wrocław, Oświęcim, Kraków, Częstochowę do Warszawy (i.Og), i dalej - w zależności od możliwości - przez Białowieżę i Białystok na Litwę, lub przez Malbork i Gdańsk do Finlandii. Krajowym koordynatorem Świętego Biegu jest: Roman Bala, ul. Kickiego 9, 04-373 Warszawa, i o kontakt z nim (lub z naszą redakcją) prosimy wszystkich, którzy chcą uzyskać szczegółowe informacje o tym niezwykłym przedsięwzięciu, pomóc w jego przygotowaniach lub dołączyć do jego uczestników.

W ostatnich tygodniach od innych grup europejskich zaczęły napływać informacje, które - podobnie jak przed rokiem - stwarzają naszym ludziom możliwość wzięcia udziału w planowanych na lato rozmaitych międzynarodowych spotkaniach miłośników Indian. M.in. z Monachium otrzymaliśmy obiecanie nam w Zurichu wiadomości dotyczącej VI Europejskiego Spotkania Grup Poparcia Indian Ameryki Północnej (zgłosiło się pięciu chętnych - pośredniczy Cien). Z kolei osoby zainteresowane folklorem mogą na początku sierpnia wziąć udział w Indianiskim Tygodniu w NRD, organizowanym tym razem przez grupę z Drezna (kontakt przez Niedźwiedzia). Podobne spotkanie koło Leningradu organizują w czerwcu indianiści z ZSRR. Jest więc w czym wybierać.

Europę - nie tylko Zachodnią - stale odwiedzają rozmaici indiańscy delegaci, przywódcy i artyści. Liczne organizacje i placówki kulturalne organizują związane z Indianami wystawy, pokazy i spotkania. Warto o tym pamiętać podczas wakacyjnych wyjazdów za bliższe i dalsze granice. Zastając w kraju większość powinna zastanowić się nad tym, jak możliwie przyjemnie i pożytecznie spędzić czas na różnych małych spotkaniach pod tipi, których z pewnością nie zabraknie, a przede wszystkim - na kolejnym Zlocie PRPI (jeżeli znajdą się chętni do kontynuowania trzynastoletniej tradycji). A może złotowy Wampun i w tym roku zostanie w Tczewie?

Póki co, zapraszamy Was do lektury i - jak zwykle - czekamy na uwagi i propozycje do kolejnych numerów. Wierzymy, że z Waszą pomocą będą się one nadal ukazywać i coraz lepiej spełniać oczekiwania Czytelników. Redakcja

TAWREM - Przegląd Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian - ukazuje się na prawach rękopisu. Wydanie "Wiosna 1990" przygotowali: Niedźwiedź, Wawoki'ya i Cień.

## Do Ciebie, do Mnie, do Was, do Nas

Zanim przejdziemy do sedna, serdecznie pozdrawiamy Was, Drozy Bracia i Siostry. Mamy też prośbę: przemyślcie to, co chcemy Wam przekazać. To jest ważna sprawa i nie lekceważcie jej.

Każdy z nas zna chyba na pamięć powiedzonka, jak to w Ruchu jest źle, za mało jedności, zaangażowania... Dlaczego tak jest? Dlaczego każdy widzi braki, każdy chciałby, aby było lepiej, a jednak nic się nie zmienia. Dlaczego? Dlaczego tak wielu ludzi odchodzi zniechęconych i zawiedzionych. A ci, którzy przychodzą, pełni świeżości, zapału, energii, entuzjizmu, pełni Wiary i Nadziei są po prostu gaszeni. Wlecie jak to się odbywa? Otóż pojawia się ktoś nowy, dla kogo Indianie, Ruch, Przyjaźń, Wy, Wlara, Nadzieja, są szczęściem i życiem; ktoś taki jest traktowany niemal jak dziwak czy szaleniec. No bo przecież to jest logiczne, że na początku wszystko jest w porządku, a za jakiś czas to się kończy i wali.

Jak może być dobrze, skoro ktoś nowy jest od razu spisany na straty przez tych doświadczonych, "znających się na rzeczy"? Jak może być dobrze, skoro tak się podchodzi do sprawy? Skoro brak Wiary w to, co się robi?

Znacie piosenkę Sztynnego Pala Azji Nie zmienię świata? "Ale mogę zmienić się sam i mogę zmienić ciebie, możemy zmienić nasz dom, by było nam jak w niebie". Przecież właśnie przez zmianę samych siebie możemy zmienić świat! Możemy zmienić Ruch, możemy zmienić to, co jest złe w dobre.

Pamiętacie? "Żółw ma cztery łapy, które go wspierają, są to: POKÓJ, MIŁOŚĆ, ZROZUMIENIE, JEDNOŚĆ". My także powinniśmy stać na takich czterech łapach!

Pamiętacie słowa Gary Butlera? "Jedynie my sami możemy siebie zniszczyć, nikt inny". NIKT INNY!!

Czy nie widzicie, że sami się unicestwiamy, że niszczyacie siebie i innych? Ludzie!! Skoro już nie ma w Was tej Nadziei i nie macie zamiaru niczego poprawiać (choć ciągle narzekacie) to pozwólcie wierzyć i działać nam. Nie zabijajcie tego piękna. Jeżeli z własnego doświadczenia wiecie, że to w nas zginie, to pozwólcie aby umierało własną śmiercią, bez pomocy. A poza tym, nie bądźcie tak szablonowi, nie każdy jest taki jak Wy i nie każdy musi być do Was podobny. Zamiast pomóc nam swoim doświadczeniem, jakoś mądrze nami pokierować, aby spożytkować tę naszą energię w jakiś dobry sposób, Wy... no właśnie, niech każdy zastanowi się jak postępuje z osobą, która dopiero "wchodzi" w to wszystko, która napisze do Ciebie swój pierwszy list i potrzebuje Twojej pomocy... A tak w ogóle to jaki dajecie nam przykład?

Wierzymy, że zrozumieliście nasz apel i już nie będziecie patrzeć na nas z lekceważeniem i ironią. Zarazem chcemy podziękować tym z Was, którzy nie stosują żadnych podziałów na "nowi" i "stary", "mali" i "duzi"; tym, którym tak wiele zawdzięczamy i którzy pomimo wielu swych zajęć znajdują dla nas chwilę czasu. Dziękujemy.

Czekamy na waszą pomoc, na dłoń, którą nam podacie... Możemy razem tak wiele zdziałać. Czekamy na POKÓJ, MIŁOŚĆ, ZROZUMIENIE, JEDNOŚĆ...

Sylwia, Ania, Aga



O Ruchu wypowiadałem się już parę razy, toteż początkowo nie chciałem się angażować w trwający od lat spór o istotę Ruchu, ale zostałem - jak zwykle - sprowokowany. Mam tu na myśli listy i repliki zamieszczone w poprzednim numerze, a także wypowiedzi powyższe.

Widzę, że moi bliscy rozbrykali się nieco w swych pełnych oburzenia sądach. Ich stanowisko - choć je szanuję - wydaje mi się co najmniej zaskakujące. Czyżbyśmy naprawdę byli już tacy starzy? Czy naprawdę nie potrafimy już spoglądać okiem młodości? Czy wreszcie, naprawdę nie potrafimy zrozumieć tych młodych ludzi przychodzących do Ruchu? Bo okazuje się, że to oni sami są wszystkiemu winni! Zamiast składać wyrazy dojrzałej wdzięczności za dopuszczenie do Ruchu i jego błyskotliwej - naszym zdaniem, rzecz jasna - kariery, oni żądają byśmy im pomagali, byli przykładem, ba! nauczycielami. Czy nie za wiele od nas wymagają? Bo przecież to my w pocie czoła wykuwalismy w opornej materii zręby tego Ruchu i jakże dumni z tego jesteśmy. Oczekujemy, że nasz wysiłek zostanie doceniony. Tymczasem "oni" ośmielają się nas krytykować, pokazywać rysy i pęknięcia, wytykać nasze wady. Powiadają, że "naszym postępowaniem dajemy do ręki broni tym wszystkim szermierzom, którzy nasze zainteresowania nazywają zabawą, dziecinadą, czy wręcz głupotą". Piękne podsumowanie, prawda? Tyle wysiłku na próżno; co gorsze, "oni" mają rację...

Nie mam zamiaru pastwić się nad sformułowaniami wyjętymi z listów tych młodych. Oni napisali to, co czują. Dobrze, że się odważyli. Zamiast więc manipulować słowami, wolę przedstawić swoją koncepcję Ruchu, jaka krystalizowała mi się przez kilka lat.

#### POSZUKIWANIE DROGI

Latem 1976 r. poznałem Marka i Witka z Chodzieży. W 1979 pojechałem na III Zlot Kół Zainteresowań Kulturą Indian, jaki odbywał się także w Chodzieży. Odtąd nazwa tego miasta zawsze kojarzyła mi się z Indianami i tymi, którzy wprowadzili mnie w Ruch. Później brałem udział w kolejnych dziesięciu zlotach. W 1989 już nie pojechałem...

Na podstawie tych dziesięciu ogólnopolskich spotkań, a także wielu pomniejszych, uświadomiłem sobie znaczenie Ruchu w moim życiu i mniemam, że moje doświadczenia nie są odosobnione.

Do Ruchu trafiłem mając 13 lat i sporo problemów. Spotkałem ludzi o podobnych zainteresowaniach i poglądach na świat. Znalazłem tam akceptację i zrozumienie, co w tym wieku jest niezwykle ważne. Indiankość wyniesiona z młodzieńczych lektur umacniała idealistyczną wizję świata, w którym wszyscy są przyjaciółmi, dobro zwycięża zło, prawda góruje nad fałszem. Dopiero później przekonałem się, że przyjaciela nie ma się jednego, dobro zdobywa się w trudzie, a za prawdę można długo zapłacić... Było jednak coś pociągającego w indyjskim bohaterze, samotnie zmagającym się ze światem, który jego walce przyglądał się z obojętnością i nie wykazywał większego zrozumienia, no, może odrobinę współczucia i politowania.

Ruch stał się dla mnie płaszczyzną formowania mej osobowości, ścierania się różnych wpływów: metafizycznego przyciągania i materialistycznej konieczności. Niezauważenie czyste, hobbistyczne "zainteresowanie Indianami" odeszło na dalszy plan. Ważniejsze okazały się wartości indyjskiego świata nadające się do przyjęcia za własne w naszej rodzimej kulturze.

Uważam, że pod tym względem Ruch spełnił moje najśmielsze oczekiwania. Nie wolno jednak pozostać w Ruchu na zawsze, w nim samym upatrywać wartości, zamykać się w jego formule; z Ruchu trzeba wyjść - umocnionym i przygotowanym do samodzielnego życia.

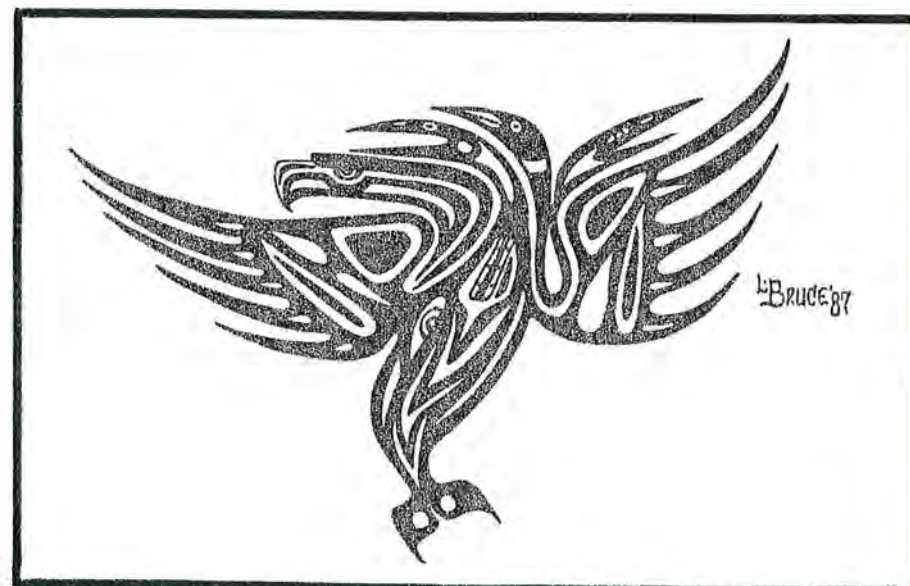
Być w Ruchu to znaczy szukać drogi. W moim przypadku droga stała się odkrycie istoty chrześcijaństwa.

Wydaje mi się, że tego właśnie oczekują od nas, "starszyny", ludzie młodzi, dopiero wchodzący w Ruch. Oczekują pomocy w procesie dojrzewania, dorastania, odnajdywania się w życiu i świecie o tylu sprzecznych postawach. Mogę się mylić, ale sądzę, że dla wielu "zainteresowanie Indianami" to tylko pretekst, to tylko otoczka, za którą kryje się prawdziwe oczekiwanie młodego człowieka, tzn. poszukiwanie moralnego autorytetu.

Literacki wizerunek Indianina - a z takim mamy najczęściej do czynienia - czyli szlachetnej i dzielnej jednostki, choć z góry skazanej na klęskę, to jednak broniącej się pod naporem brutalnych sił, ucieleśnia wartości, które tak żywo oddziałują na młodocianą wyobraźnię: odwaga, zdecydowanie, prawdomówność, gotowość do poświęceń, pomaganie słabszym itp. "Indianin" więc to zespół cech i wartości, które młody człowiek pragnie osiągnąć.

W tym dopatruję się głównej roli i potrzeby istnienia Ruchu. Indianie amerykańscy sami dadzą sobie radę. Tak często proszą przecież białych, by im tylko nie przeszkadzali. Czysta encyklopedyczna wiedza o Indianach jest martwa. Potrzeba więc wartości, które nadają życiu sens i cel. Taką właśnie indyjskość staram się pokazywać moim następcom w Ruchu. To wielka odpowiedzialność, ale nie uciekam od niej. Tego samego też - podjęcia odpowiedzialności za tych, co przychodzą - oczekiwałbym od całej "starszyny".

Marek Maciołek  
koniec grudnia '89





## ZBIORY NA POKAZ - JAK WIDZĄ NAS INNI ?

Niewiele wydarzeń związanych z działalnością ludzi z kręgu PRPI spotkało się z taką życzliwością środków przekazu, jak zorganizowana pod koniec ub. roku w Wałbrzychu i okolicy wystawa Krzysztofa Zawajskiego. Pisały o niej "Świat Młodych" i dolnośląska "Gazeta Robotnicza", pokazywała regionalna telewizja. Mimo zaproszenia (Dziękujemy !) nie udało się nam jej obejrzeć (może następnym razem ?). Z tego względu - a także dlatego, że jest to jedna z odpowiedzi na pytanie, jak widzą nas inni - zamieszczamy niżej notatkę z "Gazety Robotniczej" nr 245 z 21-22 października 1989 r.

## "Indianin też człowiek"

Któż w dziecięcych latach nie przeżywał szalonej miłości do czerni, wronoskórych. Potem miała fascynacja szlachetnym Winnetou, niewiele pozostawało w pamięci z tragicznych dzieł Unkasy i Wielkiego Weża. Indianin pozostawał najwyżej groteskowym dodatkiem do wspaniałych białych mężczyzn w westernach. To ośmieszanie jest jedną z wielu krzywd, jakie im wyrządzono...

Jednak nie wszyscy, jak miałam okazję przekonać się, wyrastają z chłopców pasji. A one, przerażają się z czasem w poważne studia przedmiotu zainteresowań. Zadała mnie Szkoła Podstawowa nr 21 w Wałbrzychu (Podzamcze) na otwarcie wystawy „Indianin też człowiek”. Autor ekspozycji - pan Krzysztof Zawajski - okazał się prawdziwym znawcą dzieł kultury i współczesności Indian północnoamerykańskich.

Wszystkie eksponaty zostały wykonane techniką indiańską, zgodną z naukowymi opisaniami. Można obejrzeć m.in. tarczę z siedmiu warstw skóry, ozdobioną magicznym rysunkiem, stosowana przez

Dakotów. Ozdoby z koralików (wzory również oryginalne), piór i skór. Pokazano też techniki wykonywania koralikowych ozdób. Akcesoria magiczne stosowane w czasie rytualnych tańców. Nie zabrakło bogatego pióropusza i indiańskiego namiotu.

Szczególnie zaciękała mnie część wystawy poświęcona walce Indian o swoje prawa. W latach siedemdziesiątych obiegła świat wiadomość o tragicznej sytuacji rdzennych mieszkańców Ameryki i podjętej przez nich walki, o prześladowaniach i szykanach. Przywódcy trafili do więzień. Polski Ruch Przyjaciół Indian nawiązał korespondencję z uwięzionymi. Członkowie ruchu przynajmniej w ten sposób pragnęli im pomóc.

Słowa uznania należą się Szkole Podstawowej nr 21, która użyła biblioteki i pomogła w organizacji ekspozycji. Zaprasza też wszystkich zainteresowanych co najmniej raz w tygodniu, oprócz sobót i niedziel, w godzinach 8-18. Wystawa będzie czynna do końca miesiąca.

VIOLETTA WALUK

"RZECZPOSPOLITA" 13.03.1990

## Meksyk: Komisja obrony praw człowieka

(C). W stolicy Meksyku poinformowano, że utworzono Państwową Komisję Obrony Praw Człowieka. Głównym zadaniem nowej organizacji będzie obrona praw Indian i udzielanie pomocy rodzinom bezprawnie aresztowanych i uprowadzonych. W naszej działalności - oświadczył przewodniczący komisji M. Acosta - będziemy kłaść szczególny nacisk na przestrzeganie wszystkich porozumień i umów podpisanych w dziedzinie praw człowieka przez rząd Meksyku. W pracy komisji biorą udział znani politycy, prawnicy, księża i przedstawiciele wolnych zawodów.

TYGODNIK POWSZECHNY" nr 2. 1990.

● W Milwaukee powstała pierwsza w USA miejska parafia katolicka dla Indian. Jak dotąd parafie dla ludności indiańskiej były zakładane wyłącznie w rezerwatach. W archidiecezji Milwaukee mieszka ok. 12 tys. Indian. Parafia, erygowana 21 XII ub. r. nosi nazwę Kongregacji Wielkiego Ducha.

"GAZETA ZACHODNIA" 14.03.1990

● We wtorek rano, po roboczym śniadaniu z kierownictwem BBC i Sekcji Polskiej tego radia, premier udał się do siedziby Korporacji Brytyjskiego Przemysłu (CBI).

W utrzymanym w poetyckim, ale też dramatycznym tonie apelu o rozwój handlu i wzrost brytyjskich inwestycji w Polsce, Mazowiecki powiedział m.in. że warto „użyłnąć ten wielki obszar Europy (wschodniej) po to, aby i on zaczął rodzić funty szterlingi (...). Mogę obiecać, że dołożymy starań (...) by zmniejszać (wasze) ryzyko i będziemy Was bronić na tym naszym Dzikim Zachodzie, gdyby pojawili się Indianie, ale zapewniam, że jak dojdą ich nie ma”.

22 KWIETNIA 1990 - MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ ZIEMI - ŚWIĘTO NASZEJ MATKI



Bruce  
© '88



*Biegi były zawsze. Te dawne, długie, kiedy młodzi mężczyźni pokonywali 15, 20 mil przez osniete góry w biegu dookoła świata. I te dzisiejsze, krótsze - biegi wiosenne i jesienne. To sposób męskiego wykorzystania słabych sił człowieka i jego nieśmiertelnej odwagi do spotkania i podążenia z wiecznym ciałem Stworzenia.*

Frank Waters: "The Man Who Killed the Deer"

## BIEGACZE TUBYLCZEJ AMERYKI

W grudniu 1980 r. grupa młodych Indian Pueblo przebyła ponad 375 mil z Taos w Nowym Meksyku do Drugiej Masy w Arizonie, odtwarzając kurierską misję sprzed 300 lat, która umożliwiła najskuteczniejsze powstanie tubylców w historii Ameryki Północnej. Niewiele dziś wiadomo o zwyczajnym Powstaniu Pueblo, które na zawsze położyło kres hiszpańskiemu panowaniu w tej części kontynentu. Z pewnością jednak istotną rolę w jego sprawnym przygotowaniu i przeprowadzeniu odegrali przenoszący instrukcje wodzów-kapłanów posłańcy.

W dawnej Ameryce systemy kurierów-biegaczy istniały także daleko na północ i południe od kraju Pueblo. Wśród ludów, których posłańcy przemierzali pieszo rozległe terytoria, byli Eskimosi z kanadyjskiej Północy i Irokezi ze Wschodniej Krainy Lasów, plemiona dorzecza Misisipi i Amazonki, małe grupy z Kalifornii oraz twórcy potężnych imperiów Ameryki Środkowej i Południowej. Tylko nieliczne - jak instytucja kurierów *chasqui*, bez których trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie państwa Inków - zyskały pewien rozgłos. Wiele innych pozostaje jednak nieznanymi z powodu tajemnicy, jaką bywały otaczane lub dlatego, że zaginęły już - albo właśnie zanikają - wraz z upadkiem tradycyjnych społeczności plemiennych.

W Ameryce Północnej ludzie, towary i idee wędrowali między Zatokami Hudsona i Meksykańską. Przed dwustu laty kurierzy Cocomaricopów kursowali regularnie między wybrzeżem Pacyfiku, Arizoną i meksykańskim stanem Sonora. Nad Wielkimi Jeziorami tubylczy biegacze potrzebowali 70 godzin, by przebyć licząc 240 mil Szlak Irokezów, łączący "strażników wschodniego wejścia" - Mohawków ze "strażnikami zachodniego wejścia" - Senekami. Według Lewisa Henry'ego Morgana Irokezi biegali zwykle parami, "przemierzając puszcę jeden za drugim, w doskonałej ciszy".

O szkolonych od dziecka kurierach, pokonujących do 200 mil w ciągu doby, wspominają badacze wielkich i małych kultur obu Ameryk. W swoich pamiętnikach Korteiz pisze, że wieść o jego lądowaniu w Vera Cruz w ciągu 24 godzin dotarła do odległego o 260 mil Montezumy, zaś wg. Prescottta ci sami biegacze stale dostarczali swemu władcy świeże ryby z Zatoki Meksykańskiej.

Prekolumbijskie systemy komunikacyjne, pozostałości bitych dróg, mostów i schodów, odkrywa się wciąż na pustyniach Nowego Meksyku, w dżungli Jukatana i na płaskowyżach Jukatana. Wciąż jednak mało kto zdaje sobie sprawę z bogactwa tradycji biegania w dawnej Ameryce. Indiancy biegacze byli kimś więcej, niż tylko sportowcami na usługach społeczności. Byli ważnymi łącznikami i przekazywaczami kultury, szanowanymi reprezentantami władzy i strażnikami informacji, a ich związki i stowarzyszenia pełniły istotne funkcje w życiu społecznym i religijnym.

W językach całego świata słońce przebiega po niebie, wiatr pędzi chmury a rzeki biegną ku morzu. Związane z biegami i biegaczami mity występują w tradycyjnych przekazach wielu ludów, nie tylko w Ameryce. Przekazy te stwierdzają, że bogowie i zwierzęta biegali na długo przed ludźmi. To bogowie polecieli ludziom biegać, a zwierzęta nauczyły ich, jak. Mityczne biegi porządkowały świat, rozstrzygały konflikty i kształtowały charaktery. Mity o biegnącym Słońcu znane były wielu plemionom Kalifornii. Według nich w wyniku biegu powstała także Mleczna Droga. Miał to być "kurz" wzniecony przez ścigających się: Kojota i Rysia (Cahuilla), bądź "ślady" po sześciomiodowym wyścigu Jelenia i Antylopy (Yurokowie). W rezultacie biegu, wspomnianego w mitach Szejenów, dokonał się podział na ludzi i zwierzęta.

Liczne opowieści o biegach i wyścigach miały za zadanie bawić, uczyć i kształtować charaktery. Powolny Żółw dzięki swojej mądrości i wytrwałości nie raz pokonywał w nich szybsze zwierzęta. W opowieści Szoszonów szybki Wilk przegrywał wyścig z Żabą, bo nie wiedział, że wyprzedzający go wciąż przeciwnik to w rzeczywistości kolejne jednakowe i sprytnie zwierzątka. W podobnej historii z Puebla Acoma Kojot ściga się z Królikiem dookoła świata i przegrywa, bowiem Królik biegnie pod powierzchnią ziemi i pojawia się tylko na zakrętach. "To jasne, że z długim ogonem nie biega się wygodnie" - śmieje się pomysłowe Króliki na mecie.

Wśród wielu plemion bieg, taktowany jako forma medytacji bądź modlitwy, ułatwiał kontakt ze światem niewidzialnych sił i duchów. Często też, jak w obrzędzie przywoływania deszczu u Hopiów, stawał się symbolicznym językiem gestów. Podobne praktyki antropologowie określają mianem magii sympatycznej, wskazując na brak powiązania między uczestnikami magicznego obrzędu a elementem, na który pragną oni wpływać. Dla biegnącego Indianina bieg bywa jednak czymś więcej, niż tylko wyrazem pragnienia społeczności. Biegacz przechodzi głębszą transformację, do pewnego stopnia wciela się np. w chmurę deszczową, lub utożsamia ze słońcem. Posłaniec staje się swoim posłaniem. Następuje pozytywna identyfikacja biegu, ruchu i siły życiowej.

Bogate tradycje indiańskiego biegania rodzą pytanie o jego korzenie. Czy leżą one w mitologii i symbolicznych działaniach człowieka, zmierzającego do kształtowania swego losu, czy też może są następstwem praktycznych potrzeb, związanych z komunikowaniem się, prowadzeniem wojen i polowaniem?

Naukowcy spierają się, sami Indianie wolą bieganie od teoretycznych sporów, a pytani - popierają oba punkty widzenia. Jeden z Hopiów, sugerując praktyczną motywację, powiedział np.: "Dawno temu, kiedy Hopiowie nie mieli owiec, koni ani osłów, polując na zwierzynę, musieli polegać na własnych nogach. Musieli je pielęgnować, myśleć o nich i modlić się o ich szybkość. Ludzie zawsze pragnęli rywalizować między sobą w szybkości biegu i dlatego urządzali wyścigi..." Jednak zdaniem innego członka tego samego plemienia "Hopiom zawsze wiodło się dobrze, gdy umieli biegać szybko i daleko; w czasie biegu Duchy Obłoków cieszą się z widoku młodych biegaczy i zwycięstwa najszybszego. Jego modlitwy o deszcz były szczególnie cenne".

Podczas wojen, polowań i zawodów sportowych indiańscy biegacze polegali nie tylko na własnych siłach. Doskonalenie szybkości i zwinności, wytrzymałości i regularności oddechu wymagało mocy i umiejętności, które cechują zwierzęta, ciała niebieskie i żywioły natury. Bez ich opieki i łaskawości nie można było osiągnąć pełni swoich możliwości.





"Wiatr przypomina drzewom o konieczności ćwiczeń" - mogli usłyszeć dzieci Pueblów od swoich dziadków. "Lubimy biegać w kierunku wzgórz, opowiadała dziewczynka z tego plemienia - i siadać wśród traw i krzewów. One śpiewają, poruszane wiatrem, a my razem z nimi. Także moja mama cieszy się i śpiewa, a jedną z pieśni nazywa swoją pieśnią wiatru." Również dalej na północy uczestnicy tańca ducha z plemienia Arapahów śpiewali do wiatru: "Ojciec nasz, Wirujący Wietrze, z twoją pomocą biegnę tak szybko".

Skuteczną pomocą dla biegacza mogło być odpowiednie imię. Jeden z Apaczów nazywał się Ten-Który-Porusza-Się-Lekko-I-Szybko. Siuks o imieniu Biegący Święty wyróżniał się zaletami tak fizycznymi, jak i duchowymi, zaś znany artysta z plemienia Siuksów, Biegająca Antylopa, zdobył swoje imię po pięciogodzinnym poście za antylopą i zabiciu jej gołymi rękami.

Umiejętności biegowe nabyte od zwierząt służyły ludziom do zdobywania pożywienia - "nauczyciele" padali ofiarą swoich "uczniów". Indianie Yuki wiedzieli, że jeleni instynktownie porusza się po wielkim okręgu. Umiejętnie rozstawieni biegacze mogli więc podążać za zwierzęciem aż do jego wyczerpania. Myśliwi Pueblów wykorzystywali fakt, że ścigany bez przerwy jeleni męczy się szybko bez pożywienia. Także Nawahowie ścigali jelenie do upadłego, kiedy potrzebowali nieuszkodzonych skór na rytualne okrycia. Dziś takie skóry pochodzą zwykle od zwierząt zabitych przez samochody.

Podczas zbiorowych polowań w okresie przed zdobyciem koni, w Wielkiej Kotlinie piesi myśliwi wpędzali zwierzęta do specjalnych zagrod lub chwyтали je w zastawione sieci, gdzie zabijano je pałkami i strzałami. W podobny sposób plemiona Równin zapędzały w pułapki stada bizonów. Obowiązkiem biegaczy było także poszukiwanie zwierząt. Młodzi myśliwi uczyli się czuć i zachowywać tak, jak ich ofiary. U Indian Omaha, ponimo zdobycia przez nich koni, przetrwali tzw. "bizoni biegacze", odnajdujący stada bizonów i w ściśle określony, rytualny sposób informujący o nich myśliwych.

W czasach, kiedy biali ludzie zainteresowali się indiańskimi biegami, magiczne pomoce i mistyczne cele biegów wiązały się nieodłącznie z wojną, polowaniem i sportem. Biegający mężczyźni i kobiety w celu osiągnięcia przenikających się wzajemnie praktycznych i duchowych celów biegu stosowali posty oraz abstynencję seksualną, środki wymiotne i specjalne diety, malowali swe ciała, posługiwali się amuletami i całą gamą innych metod.

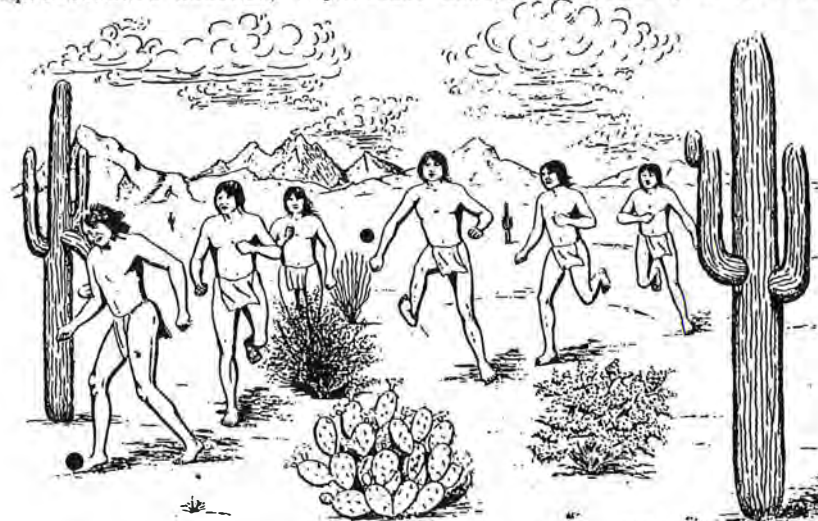
Nieależnie od mistycznego i rytualnego charakteru biegania, Indianie wszędzie ścigali się też dla rozrywki i współzawodnictwa. Jednak w przeciwieństwie do naszego punktu widzenia sportu, w którym liczą się przede wszystkim zwycięzcy, ich rezultaty i sponsorzy, dla Indian biegi kończyły się z reguły z chwilą przekroczenia linii mety. Dlatego jesteśmy zaskoczeni, gdy zwycięzca dwudniowego biegu u Tarahumarów odchodzi nie zaczepiany przez nikogo i życie toczy się dalej tak, jakby biegu w ogóle nie było.

Rywalizacja między zawodnikami lub drużynami nie przenosiła się na widzów i nie trwała po zakończeniu zawodów. Kiedy rywale spotykali się, by współzawodniczyć w biegu, to istotne było ich spotkanie, a nie rywalizacja. Chociaż przed zawodami odbywały się treningi, magiczne zabiegi i zakłady, a podczas biegu napięcie obserwatorów sięgało zenitu, to za metą nie było miejsca na gwiazdorstwo zwycięzców czy fanatyczne walki kibiców. Od tej reguły bywały oczywiście wyjątki. Np. zdarzało się, że biegające na równi z mężczyznami Indianki z rejonu Wielkich Jezior atakowały zwyciężczynię, obrzucały ją wyzwiskami lub padały przed nią ze strachu, bowiem wygrywającej wolno było wyjątkowo zachowywać się w sposób wyniosły i brutalny.

Bardzo różne bywały rodzaje indiańskich biegów. Organizowano wyścigi indywidualne, drużynowe i biegi sztafetowe, w których np. Pueblo przekazywali sobie kolbę kukurydzy. Biegano na przełaj, nierzadko w bardzo trudnym terenie, ścigano się po drogach i na specjalnie przygotowanych bieżniach. Różne były też długości biegów - od sprintów, przez biegi na średnich i dłuższych dystansach, aż po wielomilowe marszobiegi i supermaratony, liczące czasem po sto i więcej mil, i trwające po kilka dni i nocy.

W różnych plemionach dodatkowo utrudniano zawody i biegano np. z wodą w ustach, z długą łaską lub z piaskiem w mokasynach. Indianie ze wschodniej Brazylii od wieków urządzają biegi z ciężką kłodą drewna, traktując je jako test dojrzałości mężczyzn i kobiet, zaś np. Kwakiutlowie wymyślali zabawne wyścigi na jednej nodze i przewroty z jednego krańca wioski na drugi.

U wielu plemion z pogranicza Stanów Zjednoczonych i Meksyku biegi łączyły się z kopaniem przez zawodników piłki lub specjalnej pałeczki. Zuni wręcz nie wyobrażali sobie biegania bez tego rekwizytu i czasem, spiesząc z odległych pól do domu, kopali przed sobą jakiś patyk. Także pozostałe grupy Pueblów urządzały wyścigi kilkuosobowych drużyn kopających pałeczki, których podczas biegu pod żadnym pozorem nie wolno było dotknąć ręką. Jak wiele innych ceremonii w tym pustynnym rejonie, z reguły biegi takie miały na celu sprowadzenie deszczu, a pałeczki zakopywano później na polach.



Do biegania zachęcano od najmłodszych lat zarówno chłopców, jak i dziewczęta. Wśród Athabasków bieganie było obowiązkowym elementem przygotowania do dorosłego życia, nieodzownym w pracy, walce i praktykach religijnych. Dla Apaczów trening biegowy był istotną częścią szkoły przetrwania, wyrabiającą wytrzymałość i odporność na cierpienie. Bieganie było jedną z metod przekazywania młodzieży plemiennych wartości i umiejętności przeżycia w otaczającym ich bezwzględny świecie. W późniejszym okresie wojownicy Apaczów wykorzystywali te umiejętności jako wojskowi zwiadowcy i komandosi.

Z kolei młodzi Nawahowie harowali swe ciała i kształtowali specyficzne poetyckie widzenie świata przez stopniowo wydłużane biegi o świcie. Rodzice Nawahów nakłaniali swe dzieci do pokonywania strachu i biegania po ciemku, a w zimie zachęcali je do łączenia biegu z kąpielami w śniegu i lodowatej wodzie. Starsze dzieci awansowały do grupy biegającej na dłuższych dystansach w południe lub, zwyczajem kalifornijskich Indian Yana, ścigały się ze swoim cieniem o zachodzie słońca. Obecnie niewielu rodziców uczy dzieci biegać, choć badania z lat 30. wykazały, że ponad połowa Nawahów pilnuje, by ich dzieci hartowały się przez tarzanie się w śniegu.

Dla plemion Południowego i Północnego Zachodu, a także w starożytnym Peru, ceremonialne biegi były ważnym elementem tzw. rytuałów przejścia, urządzanych dla osiągnięcia dojrzałości dziewcząt. U Nawahów skracanie biegu przez dziewczynę biorącą udział w ceremonii dojrzwania, zwanej *kinaalda*, mogło zwiastować jej lenistwo i brak powodzenia w dorosłym życiu.



Wkraczająca uroczystość w świat dorosłych dziewczyna Apaczów, której bieg "kształtował charakter", honorowana była następnie wykonywanym przez zamaskowane "Duchy Gór" popularnym tańcem diabła. Indianki Maidu biegały o świcie każdego dnia swojej dziesięciodniowej ceremonii, a dziewczęta Washo czterokrotnie biegały nocą na wzgórze, by rozpalic tam cztery ogniska. Podobne rytualne biegi były także istotną częścią ceremonii dojrzewania chłopców z niektórych plemion Kalifornii oraz imperium Inków.

Zaawansowany wiek nie był przeszkodą w bieganiu. Indianie Tarahumara i Hopiowie biegali długo po sześćdziesiątce, a Nawahowie organizowali specjalne "wścigi starców". Znana jest opowieść o tym, jak liczący już ponad pięćdziesiąt lat wódz Szejenów Mały Wilk wyzwał do pojedynku biegowego młodego wojownika Siuksów i znacznie go wyprzedził.

Dla wielu plemion bieganie było nie tylko elementem treningu fizycznego, ale także drogą rozwoju duchowego. Np. wśród Yuroków z północnej Kalifornii biegi stanowiły w rzeczywistości wyrafinowaną metodę dynamicznej medytacji, porównywalną z praktykami mistyków Dalekiego Wschodu. Samo pojęcie biegu oznaczało dla nich coś więcej, niż dyscyplinę sportu; obejmowało zdobywanie duchowej wiedzy i kontakt z niewidzialnymi siłami. Transowe biegi mogły stanowić formę "jednoczenia się z naturą" przez biegacza, zawierającego szlakowi, który go "prowadził". Mogły też być elementem wiedzy tajemnej, zdobywanej przez indiańskich czarowników i umożliwiającej im ponad błąskawicze przenoszenie się z miejsca na miejsce.

U Hopiów przez cały rok nie było miesiąca bez jakiegoś święta związanego z biegami. Wzajemnie przenikały się tam rytualne biegi i obrzędy płodności. Równie ważne były biegi podczas grupowych tańców i modłów o deszcz, jak w czasie intymnych zabiegów rolnika o pomyślne zbiory. Przybawajace wczesną wiosną z gór duchy *Katchina* wyzywały Hopiów na wścigi, a od zwycięstwa ludzi zależało nadejście deszczu i pomyślność przez cały rok.

Żaden jednak z tubylczych narodów Ameryki nie związał swojej pracy, zabawy i tożsamości z bieganiem tak, jak meksykańscy Indianie Tarahumara, których nazwa własna *Raamuri* pochodzi od związanej z biegiem gry plemienia. Ten czterdziestotysięczny lud, żyjący niezależnie w swych niedostępnych górach, pracuje w nieustannym ruchu, wieczorami kopie piškę na wścigi, a podczas światła urząda wielodniowe zawody międzypłciowe.

Społeczne znaczenie biegów nie wyraża się u nich w formie zbiorowych rytuałów, jak to na miejsce np. u Hopiów. Znajduje ono swój wyraz w postaci bardziej praktycznej, użytkowej, choć biegacze poszczą przed zawodami, przygotowują "wzmocniające" amulety, palą kadzidło i śpiewają. W przeszłości zawodnicy podczas biegu żuli lub pili wywary z peyotlu i *jicuri*. Istotne były jednak nie halucynogenne, lecz pobudzające właściwości tych roślin, bowiem nie stwierdzono, by Tarahumarowie przeżywali wizje podczas biegu.

Kulturowy kontekst oraz sposób biegania Indian do dziś tak dalece odbiega od zasad biegania wyczynowego, że amerykańskim tubylcom rzadko tylko udaje się połączyć sławę plemiennych szybkobiegaczy z sukcesami na sportowych arenach Ameryki czy świata. Kariery Jima Thorpe i innych są jednak na tyle interesujące, że warto im poświęcić osobne opracowanie.

Bruce Talawema, jeden z tych nielicznych, którzy potrafili odnosić sukcesy w obu kulturach, wspominał przy okazji Biegu Pueblów: "Bieganie było jedną z rzeczy, których uczyła nas starszyzna. Zawsze gdy idziecie gdzieś pieszo, powinniście próbować biec. To ważna część naszego życia. Nawet, gdy jest się starym, jak długo można biec w jakimkolwiek tempie, tak długo czuje się młodym. Tam biega się dla siebie. Tu - to sprawa plemienna. Biegnie się dla ludzi. Liczy się to, co ze sobą przynosimy - postanie pokoju, harmonii i zjednoczenia się jako jednego ludu. Nie po to, by doprowadzić do kolejnego powstania - nie myślimy o tym - lecz by znowu siebie odnaleźć. Nie liczy się czas, lecz to, jak to zrobimy."

Na podstawie książki Petera Nabokova "Indian Running" opracował M. Nowocień

## HISTORIA FLETU KIOWA

Dawno, dawno temu młody mężczyzna Kiowa siedział na wzgórzu, patrząc na obóz, kiedy usłyszał głos, dziwny głos-głos ten był Duchem Wiatru. Był on dziwny, gdyż do mężczyzny, którego zwano Kaw-awm Tah-lee /Biedny Chłopiec/ nigdy nie przemawiał. Mężczyzna ten był sirotą i wygnańcem. Z tego powodu często rozżalał się nad sobą.

Głos był zaskakujący ale miły. Powiedział młodemu mężczyźnie: "Słuchaj, słuchaj dobrze. Poniesiesz to przez resztę swojego życia". Gdy mężczyzna usiadł naprzeciw pięknemu cedrowi, powoli zebrali się małe ptaszki i zwierzęta. Oczy Tah-lee zaiskrzyły się na widok, jaki nigdy nie miał miejsca. Zawsze miał uczucie, że ptaki i zwierzęta będą się pioszyć - teraz jednak były tutaj. Znowu przemówił głos:

"Ja, wraz z ptakami i zwierzętami natury, zamierzam wręczyć ci dar. Nazywa się on Flet. Z największego ze wszystkich drzew wzięliśmy instrument piękna, który będzie twój i tylko twój, dopóki któregoś dnia nie odłożysz go, ponieważ otrzymuje go tylko jeden z plemienia. Ptak na szczycie przedstawia wszystkie te piękne ptaki i zwierzęta, które pomogły mi przygotować go dla ciebie. Cztery dziurki przy końcu fletu przedstawiają cztery kierunki wiatru. Musisz zawsze gładzić go, aby był natłuszczony. Oddech życia z twego ciała utrzyma go w wilgotności. Musisz trzymać go w torbie z kozłowej skóry wraz ze swymi lekami. Twoja czerwona farba, której używasz do twarzy, zostanie położona na końcu fletu, aby dać mu osobowość. On jest twój i tylko twój. Wraz z tym instrumentem musisz także posiadać swą własną miłosną pieśń."

Musisz ubrać się w najlepszą odzież Kiowa, najlepsze pióra, nałożyć na włosy najlepsze ozdoby a także czerwoną farbę. Ubierz wszystkie najpiękniejsze rzeczy natury, gdyż będziesz przedstawiał piękno i miłość. Twoja muzyka zawsze odnosić się będzie do miłości. Czy będziesz to twoja miłość, czy modlitwa, czy miłość braterska - zawsze będziesz ją przedstawiał.

Któregoś dnia będziesz mieć kobietę, którą kochasz /to była niespodzianka, ponieważ kobieta, którą kochał była córką jednego z najważniejszych wodzów i dotąd wydawało się niemożliwe, aby doszło do miłosnych zalotów/. Gdy wszystko już przygotujesz, weź najlepszego konia - podjedź na nim pod jej tipi, niechyt blisko, lecz na pewną odległość. Zaśpiewaj swą miłosną pieśń. Gdy się zbliżysz, zsiądź z konia i wyjmij flet z torby, w której zawsze ma być trzymany. Gdy będziesz grał swą pieśń, dowiesz się czy twoja miłość zostanie przyjęta, czy też nie. Jeśli tak, ona wręczy ci w zamian dar. Weź go i zostań aby przygotować się do ślubu, gdyż musisz także zdobyć przyzwolenie jej ojca. Musisz przygotować wiele prezentów, gdyż wiele ich będzie potrzeba aby dumny ojciec oddał swe ukochane dziecko".

Kaw-awm Tah-lee zrobił tak jak powiedział mu głos. Wrócił później do domu wodza, jego propozycja została rozważona a on wręczył prezenty. Małżeństwo zostało zawarte i Kaw-awm Tah-lee dostał kobietę, którą kochał a ona również bardzo, bardzo go kochała.

Od tego czasu flet był przekazywany z pokolenia na pokolenie. Raz był on już prawie stracony ale teraz znowu go odzyskano.

Tom Mauchahty-Ware

tłum. Gosia Szparadowska



## MAŁŻEŃSTWO U HIDATSÓW

Małżeństwo zostaje oficjalnie zawarte przez rozdanie prezentów męskim krewnym ze strony kobiety. Następnie krewni kobiety rewanżują się prezentami o mniej więcej równej wartości, jeśli ich oczywiście na to stać i są zadowoleni z przyszłego męża. Jeśli mąż jest młody i bierze sobie pierwszą żonę, zamieszkuje z nią w domu swojego teścia i razem z nim chodzi na polowania, aby utrzymać całą rodzinę. Niektórzy podróżnicy zaświadcniają, że "małżeństwo przez kupno" wśród Indian jest zwykłą sprzedażą kobiety temu kto oferuje najwyższą cenę i oddał staje się ona jego niewolnicą, ale jest to raczej błędne przedstawianie obyczajów. Dawanie ślubnego prezentu jest pewnym powszechnie przyjętym zwyczajem. Sam prezent jest gwarancją dla rodziców, że mężczyzna będzie wiściwie traktował ich córkę, a także jest pewnym zaświadczeniem o zamożności męża i jego krewnych. Większy prezent ślubny sprawia większą radość pannie młodej i jej krewnym i może przyczynić się do wyboru kandydata, chociaż dziewczynie pozostawia się dość swobodny wybór męża. Czasami rodzice przez namowę, rzadziej przez przymus, starają się wpłynąć na córkę w przyjęciu, bądź odrzuceniu oferty. Istnieje wiele przypadków, kiedy duże ślubne prezenty zostały odrzucone, a przyjęte takie o dużo mniejszej wartości, a to dlatego po prostu, że dziewczyna wyraziła swoją przychylność swemu ukochanemu chłopcu. Sława mężczyzny jako wojownika, jego wpływ i pozycja w plemienu przed jej zapewnią mu dobrą żonę, aniżeli prezenty, jakie może oferować. Zręczność w polowaniu jest dobrą rekomendacją. Rodzice radzą często swym córkom, aby poślubiły tych mężczyzn, którzy nigdy nie opuszczają domu bez uprzedniego zaopatrzenia go w mięso. Znany jest przypadek pewnego biednego Mandana, który miał schorowaną i mało przydatną żonę z innego plemienia, którą jednak bardzo lubił. Kiedy ona umiera, bardzo żałował człowiek Hidatsa, który miał trzy piękne córki, oddał je wszystkie młodemu wdowcowi za żony wraz z wieloma wartościowymi prezentami m.in. koniami, mówiąc: "ten młodzieniec ma dobre serce i będzie dobry dla moich dzieci, kiedy ja umrę". Czasami, kiedy dziewczyna nie może wyjść za swego ukochanego np. z niechęci rodziców, daje się porwać przez niego. Para pozostaje na prerii około dziesięciu dni, potem wraca do wioski i to zazwyczaj rozwiązuje problem. Są wtedy uważani za małżeństwo, ale takie małżeństwa uważa się za niegodne, bowiem małżeństwo za zgodą rodziców i małżeństwo przez "uprowadzenie" są inaczej oceniane.

Wielonośstwo jest stosowane, ale zwykle z pewnymi ograniczeniami. Mężczyzna, który poślubił najstarszą z kilku sióstr, ma prawo poślubić pozostałe kiedy dorosną i najczęściej tak robi, chyba, że one ułożą sobie życie inaczej i odmówią mu. Dotyczy to zarówno młodszych sióstr, jak i kuzynek, tak więc mężczyzna ma duży wybór. Często również wybiera wdowę po bracie, chyba że żona nie zgadza się na to, więc wtedy może tylko zaadoptować sieroty po bracie jako swe własne dzieci. Kiedy mężczyzna bierze sobie drugą żonę, która nie jest spokrewniona z pierwszą, wyniki są ogólnie niefortunne. Zdaje się, że czasami, że pierwsza żona opuszcza go wtedy i wraca do swych rodziców, czasami zaś zaczyna dokuczać drugiej żonie tak, że wspólne życie staje się w końcu niemożliwe. Jeśli mąż jest akurat dobrze sytuowany zabezpiecza im oddzielne mieszkania. Niekiedy obie żony zgadzają się ze sobą, choć zdarza się to bardzo rzadko.

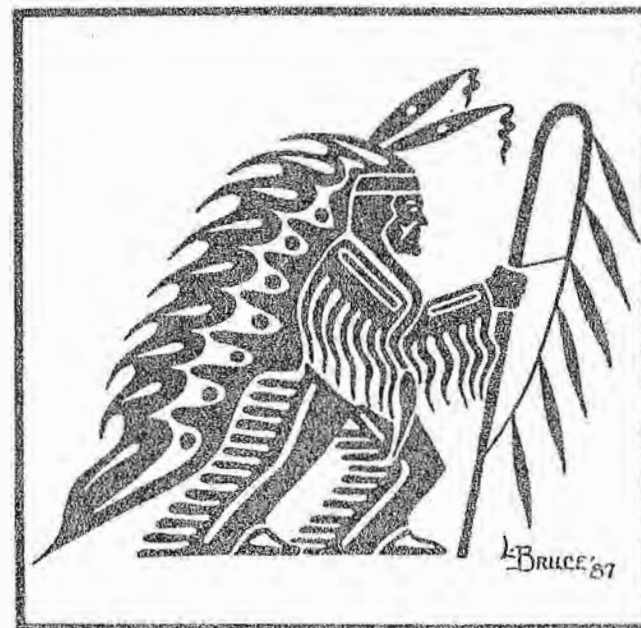
Rozwód można bardzo łatwo przeprowadzić, chociaż wśród wyższych klas społecznych w plemienu jest to rzadkością. Młodzieniec, który ma miłą i pracowitą dziewczynę, dobrego pochodzenia, nie ma ochoty do rozstania się z nią, ani też ona nie ma zamiaru porzucić go dla błahostek. Związek takich ludzi trwa często przez całe życie. Zaś wśród osób o różnych charakterach rozwały się często. Kobiety Hidatsów są z reguły wierne swym mężom, szczególnie wtedy, kiedy poślubiły ich z własnego wyboru. Zdarza się jednak czasami, że mężatka

ucieka z ukechanym. Zdradzony mąż może usatysfakcjonować się, zabierając cały dobytek uwodziciela i jego przyjaciół, jaki tylko zdoła unieść w rękach. Uwodziciel często sam daje mu okazję do tego, albo dobrowolnie przesyła mu prezenty, aby go uspokoić. Jeśli mąż chciałby zabić swoją niewierną żonę (co zdarza się bardzo rzadko) nikt nie weźmie mu tego za złe, ale jeśli on lub ktoś z jego krewnych zagrozi lub przyjmie prezenty nie ma już prawa tknąć żony, kiedy ona wróci. Wielkim poważaniem otacza się męża, który pomyśli o zbiegów, przesyła ich o powrót do wioski, a kiedy wróci zaprasza ich do swego domu i oficjalnie ofiarowuje kobietę jej uwodzicielowi dając mu na dodatek konia lub jakieś inne wartościowe prezenty. Jeśli chce pokazać, że jego "serce jest silne", musi sprawić wrażenie, że jest zadowolony z takiego obrotu sprawy. Jeśli mężczyzna odrzuca żonę za jej zdradę lub jeśli ona ucieka od niego, to okrywa się hańbą jeśli przyjmuje ją spowrotem, udając, że nic się nie stało.

Takie jednak były obyczaje Hidatsów i trzeba przyznać, że nie były one bardzo surowe. Kary jakie wymierzane były przez stowarzyszenia wojowników, stosowano tylko w ewidentnych przypadkach łamania zasad obozu. Ten, który po prostu narusza społeczne zwyczaje plemienia, często wymierza sobie karę sam, nie gorszą niż szyderczy uśmiech czy ubliżające docinki. Z kolei ten, który dopuszcza się poważnych wykroczeń, może utracić przychylność i szacunek przyjaciół.

U Hidatsów, jak i innych plemion zachodnich mężczyzna nie powinien prowadzić bezpośrednich rozmów ze swoją teściową, ale ten zwyczaj już powoli zanika.

/tłum. Niedźwiedź/  
Fragm. książki W. Matthews'a "Ethnography and Philology of the Hidatsa Indians", wydanej w Waszyngtonie w 1877 roku; pochodzącej ze zbiorów Biblioteki Instytutu Etnologii UAM w Poznaniu.





KOLA!!  
 HE SAPA MAKOCE UNKITAWAPELO  
 NAHAN ECUHA UNKICUKTELO . . . ,  
 "OCETI SAKOWIN OYATE", WANA,  
 KIKTAPPELO . . . ,  
 WIOHPEYATAKIYA CANKU LUTA  
 WASTE UNKOMANIKTELO . . . ,  
 BLEHICIYAYO . . . ,  
 HAU!!



Przyjacielu!

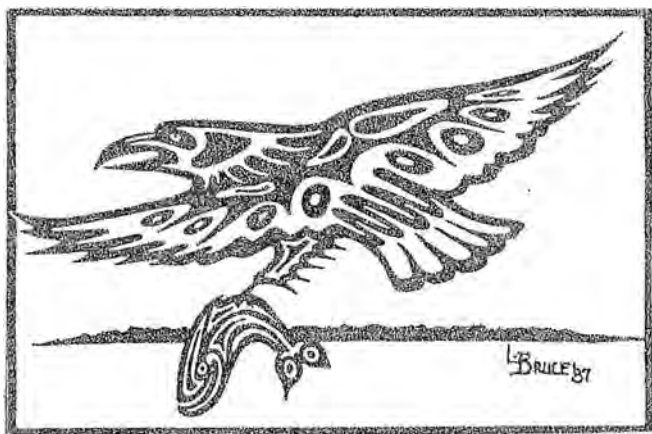
Czarne Góry należą do nas, więc je odzyskamy,  
 Siedem Ognisk Rady się przebudziło . . . ,  
 Ku słońcu wiedzie dobra Czerwona Droga,  
 podążymy nią . . .  
 Odwagi, bądź dzielny!

Hau!

BLUEBIRD ~ OGŁAŁA



# Leslie Carl High Rock



## ZIMNY GRYZĄCY WIATR

Sądzę  
Że każdego dnia  
Są tacy co wstają  
Z pasją  
I pragnieniem  
Dotknięcia jeszcze jednej  
Cegły  
Do ściany  
Nienawiści  
I nieporozumienia

## Yankton Dakota (1983)

Stoję  
A oni patrzą na mnie  
Ze  
Strachem  
Ignorancją  
I nienawiścią

## SAMOTNOŚĆ

Nie jest tak przykra  
Jak nieszczelny kran  
Ale być może  
Tak jak  
Kran  
Istniała  
Zbyt długo

## ZAMEK I KLUCZ

Jeżeli wszystkie gwiazdy spadają  
Nie bój się  
To tylko naszą Matka  
Rzuca ganiące spojrzenia

Jeżeli szczyty gór wybuchają  
Nie bój się  
To tylko nasza Matka  
Wypluwa chemikalia, które ukryliśmy

Jeżeli mosty walą się, a domy rozsypują  
Nie bój się  
To tylko nasza Matka  
Wstrząsa naszymi rozumami w beznadziei

Jeżeli rzeki i strumienie wylewają  
Nie bój się  
To tylko nasza Matka  
Wylewa łzy nad naszymi kłamstwami i chciwością

Jeżeli stworzenia przyrody biorą więcej, niż dają  
Nie bój się  
To tylko nasza Matka  
Mówi nam, że pragnie oczyścić nasze umysły

Jeżeli fasola i owies nie chcą rosnąć  
Nie bój się  
To tylko nasza Matka  
Przypomina nam, abyśmy zbierali tam, gdzie zasialiśmy

Przełożył Marek Nowocień



## SKŁONECZNY NIEDŹWIEDŹ: NA KALIFORNIJSKIEJ ŚCIEŻCE SIŁY

W maju 1969 r. zrezygnowałem ze stanowiska w Międzyplemiennej Radzie Newady. Bez pracy nie pozostawałem długo. Gdzieś po miesiącu Jack Forbes z Uniwersytetu Kalifornii w Davis zaprosił mnie do współpracy przy tworzeniu programu studiów tubylczoamerykańskich w uniwersyteckim Ośrodku Tecumseha. Przyjąłem tę pracę, ponieważ uważałem, że może być ważnym krokiem w kierunku kształcenia moich tubylczych braci i siostr oraz białych studentów, pragnących poznać naszą drogę życia.

W tym samym czasie, gdy pomagałem opracować ten program, rozpocząłem też pracę w eksperymentalnym koledżu przy Uniwersytecie w Davis oraz pracowałem przy zakładaniu Uniwersytetu Deganawidy-Quetzalcoatl. Uniwersytet D-Q został wymyślony przez grupę studentów – tubylczych Amerykanów i Chicano z Uniwersytetu oraz Jacka Forbesa, i dlatego nazwano go imionami wielkich proroków Irokezów i Tolteków. Studenci okupowali opuszczoną siedzibę bazy wojskowej w pobliżu Davis. To znaczy, dosłownie, zarekwirowali ją, powołując się na stary przepis, który zezwalał tubylczym Amerykanom przejmować nie używane aktualnie ziemie federalne. Pragnęli stworzyć w tej starej bazie Uniwersytet Tubylczych Amerykanów i uczynili to.

Wkrótce po przybyciu do Davis zacząłem wyklądać na regularnych zasadach dziennikarstwo i filozofię tubylczą. Pamiętam niektóre rzeczy, które przede wszystkim przekazałem studentom dziennikarstwa. Najpierw, że nie będę za nich zmywał po zajęciach filiżanek po kawie jest to jeden z ich obowiązków i jeśli nie będą po sobie sprzątać, to obleją egzamin. Drugą moją radą, niewątpliwie bardziej na temat, było, że chcę, aby zapomnieli wszystko, co dotąd słyszeli o pracy dziennikarza. "Jeżeli nie piszecie z uprzedzeniem – powiedziałem im – jeśli nie piszecie od siebie, to nie zajmujecie własnego stanowiska. Trzeba być głęboko zaangażowanym w to, o czym się pisze, a nie trzymać się na dystans, więc nie marnujcie mojego czasu, przedstawiając mi garść obiektywnych obserwacji. To, co napisaliście, nie będzie warte przeczytania. Jeśli nie macie własnego zdania, to nie siadajcie nawet do maszyny do pisania."

Wykladałem w Davis przez około trzy miesiące, kiedy część personelu administracyjnego wyraziła swoje obawy w związku z tym, że miałem zaledwie ośmioklasowe wykształcenie. Ostatecznie zostałem zmuszony do rezygnacji. Kiedy to nastąpiło, dyrektor eksperymentalnego koledżu, Chuck Sweet, przyjął mnie do pracy. Wykladałem przede wszystkim na kursach nauki wiary w siebie (self-reliance). W moich klasach było około siedemdziesięciu uczniów z uniwersytetu i okolicy. Wiele mówiliśmy o tym, jak leczyć Matkę Ziemię. Sporo też zajmowaliśmy się ogrodnictwem.

W 1969 r. miało miejsce także inne zajęcie ziemi przez tubylców, dużo słynniejsze od akcji na Uniwersytecie D-Q. Była to okupacja wyspy Alcatraz.

Pod koniec lat sześćdziesiątych, do wielkich miast całego kraju przesiedlono 250 000 tubylców. Większość z nich poszła na uniwersytety lub dostała pracę i po prostu starała się zasymilować w białym społeczeństwie. Nie było to takie proste; po latach odrzucenia, po uczeniu się o własnej kulturze w wielu koledżach, niektórzy poczułi się wściekle nawiedzeni. Stali się radykałami, bojownikami, najbardziej zdeterminowanymi odzyskać swoją tubylczą tożsamość. Najsłynniejszym sloganem tej ery był "Red Power" – Czerwona Siła. Powstały takie ruchy miejskich Indian, jak Ruch Indian Amerykańskich (AIM), kierowany przez Clyde'a Bellecourta i Dennisa Banksa w Minneapolis, czy Zjednoczeni Tubylczy Amerykanie (UNA), pod przewodnictwem Lehmana Brightmana w San Francisco.

20 listopada 1969 r. siedemdziesięciu ośmiu Indian zajęło wyspę Alcatraz w Zatoce San Francisco. Nazywali siebie "Indianami Wszystkich Plemion" i początkowo ich niespodziewana akcja dała Indianom w całym kraju potężny zastrzyk energii. Wyspa Alcatraz, podobnie jak wszystko, została odebrana tubylcom, i przez wiele lat była znanym więzieniem federalnym.

W tym czasie więzienie było zamknięte, a okupujący wyspę Indianie powoływali się na ten sam przepis o ziemi federalnej, który zezwolił na zajęcie pustej bazy lotniczej w Winters na rzecz Uniwersytetu D-Q. Większość pierwszych 78 okupantów stanowili Indianie miejscy – studenci z San Francisco.

W liście otwartym do Amerykanów, napisanym przez przywódców okupacji i datowanym na 16 grudnia 1969 r., bardzo dobrze wyjaśniono cele i nadzieje ruchu: "Gdzieś musimy zacząć. Czujemy, że jeśli ma się nam powieść, musimy trzymać się starych dróg. To pierwszy, i najważniejszy powód, dla którego przybyliśmy na Alcatraz. Mamy nadzieję na wzmocnienie tradycyjnej indiańskiej drogi życia przez zbudowanie na Alcatraz centrum kulturalnego. Mamy nadzieję zbudować koledż, centrum religijne i duchowe, muzeum, centrum ekologiczne i studium nauczycielskie".

Pod koniec roku 69. i na początku 70. liczba ludzi na Alcatraz znacznie wzrosła; pod koniec okupacji byli tam przedstawiciele ponad 50 plemion.

Odwiedziłem wyspę razem z Annie i drugą osobą, aby opisać to zdarzenie dla "Many Smokes". Śledziliśmy rozwój wypadków w telewizji i otrzymaliśmy zaproszenie od "Indian Wszystkich Plemion". Przebywali tam już od kilku miesięcy i część przywódców odczuwała zniechęcenie, bowiem nie działo się nic wielkiego. Nie zrealizowano żadnego z planów centrum kultury, chociaż rząd wycofał się i pozwolił Indianom zostać. Byliśmy w Reno, kiedy zdecydowaliśmy się na wyjazd; pojechaliśmy do San Francisco, a kiedy przybyliśmy do Stoczni Rybackiej, stwierdziliśmy, że tylko dwóm łodziom dziennie zezwolono na płynięcie na Alcatraz. Oczywiście, spóźniliśmy się na obie.

Staliśmy koło Stoczni przez chwilę, zastanawiając się, co zrobić, kiedy jakiś mężczyzna zaproponował, że zabierze nas na wyspę swoją starą rybacką łodzią. Poszliśmy z nim, oczywiście, nie zdając sobie sprawy z tego, jak poważnym wykroczeniem jest taka nielegalna podróż. Straż Wybrzeża zablokowała wyspę, więc musieliśmy ominąć blokadę. Kiedy dobiliśmy do mola na Alcatraz, zauważyliśmy, że liczba łodzi Straży Wybrzeża w sąsiedztwie zwiększyła się i że wielu ludzi na wyspie komentuje to z ożywieniem.

Będąc już na wyspie, chodziliśmy i rozmawialiśmy z każdym, kto znalazł dla nas wolną chwilę. Zapoznanie się z sytuacją i zrozumienie, dlaczego okupacja popada w kłopoty, nie trwało długo. Wyspa Alcatraz to tylko skała. Nie ma tam miejsca na uprawę warzyw, nie ma świeżej wody ani stałego źródła prądu. W najwyższym punkcie wyspy stało tipi, a jeden z budynków służył za kuchnię i jadalnię. Większość ponurych budynków więziennych stała pusta, chociaż część służyła ludziom jako miejsce noclegu. Cała żywność pochodziła z darów z zewnątrz. Ludzie siedzieli więc na tej gołej skale i czekali. Nie było żadnych materiałów do budowy centrum, nie było też pieniędzy.

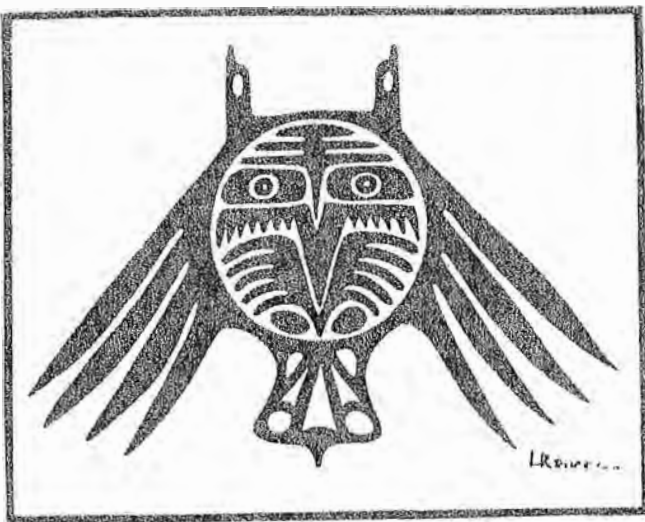
Rozmawiałem tam na temat ducha i wielu spraw praktycznych, ale kiedy opuszczałem wyspę wiedziałem, że moi bracia i siostry nie zostaną tam długo.

Kilka miesięcy później Indianie z Alcatraz zdecydowali się opuścić wyspę; zapal okupantów wyczerpał się. Moim zdaniem, ich problem był kwestią względów praktycznych. Przykro mi stwierdzić, że wiele bojowych ruchów kończy w ten sposób; zaczynają w złości i trwonią siły. Oto dlaczego jestem tak przywiązany do mojej wizji Szczepu Niedźwiedzia; powstaliśmy z całkiem innego kierunku. Staraliśmy się nie krzyczeć, kierowani złością lub jakimś innymi osłabiającymi emocjami, stworzyliśmy społeczność opartą na miłości i harmonii, i dlatego z dnia na dzień stawaliśmy się coraz silniejsi.

Chociaż założone cele okupacji Alcatraz nie zostały nigdy osiągnięte, pomogła ona ogromnie późniejszym ruchom na rzecz odzyskania tubylczych praw i terytoriów.

Moi studenci z eksperymentalnego koledżu przy Uniwersytecie Kalifornii w Davis byli wspaniałą grupą ludzi. Interesowali się alternatywnymi stylami życia, i więcej – nauką życia w harmonii z Matką Ziemią. Szczepie pragnęli poznać drogi tubylców, więc uczyłem ich wszystkiego, co mogłem. Z tej grupy wywodziło się jądro Magicznego Stowarzyszenia Szczepu Niedźwiedzia.





## KAHNAWAKE - ENKLAWA NADZIEI

Cztery i pół wieku temu, w 1535 r., płynący w górę Rzeki Św. Wawrzyńca statek Jacquesa Cartiera dobił do brzegu nieopodal wioski Hochelaga na wyspie Montreal. Była to wioska rolników, w której kobiety uprawiały kukurydzę, fasolę i dynie, a mężczyźni polowali. Zamieszkiwali ją Kanienkehake, Ludzie Krzemienia, nazwani później Mohawkami. Grupa białych ludzi osiedliła się na wyspie, a kiedy ich liczba wzrosła, tubylcy przenieśli swe osiedle na południowy brzeg rzeki. W 1716 r. Mohawowie osiedlili się tuż powyżej Bystrzyn Lachine, zakładając wioskę o nazwie Kahnawake (lub Caughnawaga).

Dzisiaj Kahnawake to zamieszkały przez grupę Mohawków niewielki rezerwat - enklawa, ściśnięta między arteriami wielkomiejskiej cywilizacji Quebecu. Do połowy lat 50. osiedle leżało nad brzegiem rzeki, w której dzieci uczyły się pływać, a rybacy zdobywali pożywienie dla swych rodzin. Teraz od Rzeki Św. Wawrzyńca oddziela je tzw. Droga Morska - kanał, który płynącym rzeką statkom umożliwia omijanie niebezpiecznych bystrzyn.

Przez środek obejmującego 5300 ha rezerwatu przebiega czteropasmowa autostrada i linia kolejowa. Z leżącym na przeciwległym brzegu 3-milionowym Montrealem łączą je dwa potężne mosty - drogowy i kolejowy. Większość przejeżdżających nie zdaje sobie nawet sprawy z istnienia indiańskiej enklawy.

Nie oznacza to jednak, że społeczność 5,5 tysiąca Mohawków z Kahnawake została ostatecznie zduszona. Walcząc z całkowitą asymilacją, Lud Krzemienia zdecydowanie domaga się politycznej autonomii i dąży do odrodzenia swojego tradycyjnego języka i kultury. Jednocześnie usiłuje umocnić ekonomiczne podstawy swojego istnienia i wykorzystywać rozwijającą się samorządność. Nie jest to proces bezbolesny: poważnymi problemami społeczności są alkoholizm i narkomania, a także spory pomiędzy tradycyjną, krytyczną w stosunku do zmian mniejszością, a bardziej otwartą na zachodzące przemiany większością.

Przed 25 laty wydawało się, że społeczność Kahnawake zmierza ku upadkowi. Długi Dom, centrum tradycyjnej kultury Mohawków starcił na znaczeniu. Wychowywanym po chrześcijańsku dzieciom zakazywano kontaktów z dziadkami i rozmawiania w języku Mohawków. Ale pomimo tego, że rezerwat otoczony jest morzem nie-indiańskiej kultury, że wielu mieszkańców Kahnawake nie ma "indiańskiego" wyglądu i że niektóre rodziny spędzają całe lata poza rezerwatem, to poczucie indiańskiej tożsamości ludzi z enklawy przetrwało.

Dzisiaj Kahnawake jest jednym z niewielu rezerwatów w Kanadzie, z których liczba powracających jest wyższa od liczby wyjeżdżających. Długi Dom jest czymś więcej, niż tylko miejscem na spotkania i obrzędy; to sposób życia, obejmujący cały kompleks zagadnień społecznych, politycznych i religijnych.

Jednym z najciekawszych eksperymentów, mających na celu odrodzenie kulturowe, jest Szkoła Przetrwania Kahnawake. Szkoła ta, ucząca m.in. tubylczej historii i kultury, powstała w 1978 r. w odpowiedzi na wprowadzenie przez rząd prowincji nowych przepisów, uznanych za atak na suwerenność Indian. Początkowo mieściła się w budynkach rozrzuconych po całym rezerwacie. Obecnie obejmuje 12 budynków z klasami, warsztatami i salą gimnastyczną, a uczęszcza do niej 150 dzieci, czyli połowa licealistów z rezerwatu. Szkoła mogłaby przyjąć wszystkich, ale nie wszyscy jeszcze mają do niej zaufanie.

Zachowaniu języka służą lekcje w szkole oraz audycje lokalnej radiostacji. "Aby przetrwać jako Naród Mohawków, musimy odrodzić dawne wartości kulturowe i sposoby działania, a także poznać stolarkę i budowę komputerów" - mówi dyrektor Szkoły, Alex McComber. "Musimy przygotować młodzież do nauki i pracy poza rezerwatem, aby mogła tu wrócić mądrzejsza i wzmocnić nas."

Mohawowie zawsze byli ludem praktycznym i zdolnym do przystosowywania się. Po zetknięciu się z Europejczykami zaangażowali się w handel futrami, a gdy ten upadł - w przemysł drzewny. Pod koniec XIX w. wielu Mohawków pracowało przy budowie mostu kolejowego przez Rzekę Św. Wawrzyńca i do dziś wielu mężczyzn zarabia na życie, budując wieżowce i stalowe konstrukcje. Dzięki temu ich rezerwat jest obecnie jednym z najbogatszych w kraju.

W samym Nowym Jorku zatrudnionych jest ok. 250 budowniczych z Kahnawake. Ale i oni powoli zaczynają mieć dość tego ryzykownego zawodu i ciągłych podróży. Młodzi rozglądają się za innymi zajęciami bliżej domu. Ale miejsc pracy w rezerwacie jest niewiele a sięgające 20 % bezrobocie i nieznaną sobie francuskiego - oficjalnego języka Quebecu - nie ułatwia jej znalezienia.

Swój wygląd Kahnawake przypomina wiele innych miasteczek prowincji; murowane piętrowe domy wzdłuż pozbawionych chodników ulic w starszej części osiedla i sporo nowoczesnych bungalów. Dziwi natomiast brak typowego centrum handlowego - przydomowe sklepiki rozrzucone są po całym miasteczku.

Położone na skraju montrealskiej metropolii i na skrzyżowaniu szlaków komunikacyjnych Kahnawake ma duże możliwości rozwoju, a jednocześnie - spore zaległości. Ponad 20 % mieszkańców korzysta z opieki socjalnej; łatwiej jest bowiem plemieniu uzyskać pieniądze na pomoc społeczną, niż na rozwój. Równie trudny jest dostęp do kredytów z banku Kanadyjska Ustawa o Indianach (Indian Act) stwierdza, że ziemia i nieruchomości położone w rezerwach nie mogą stanowić własności nie-Indian, nie można więc oddać ich pod zastaw. Inny problem - to brak miejsca. Większość powierzchni rezerwatu to porzucone przez prywatnych właścicieli tereny rolne - niewygodne dziedzictwo polityki likwidowania tradycyjnego systemu społecznej własności ziemi.

"Jest tutaj wiele do zrobienia" - mówi 29-letni John McGregor, który przed trzema lat porzucił wielkie budowy i dziś jest właścicielem dobrze prosperującej wypożyczalni filmów i sprzętu wideo. "Najtrudniej jest zacząć, a później interes sam się kręci."

Kahnawake jest w trakcie idealistycznego i śmiałego eksperymentu. W 1979 r. Mohawowie postanowili przywrócić dawny system rządów. Niegdyś tradycyjni przywódcy plemienni utracili władzę, najpierw na rzecz białych agentów do spraw Indian, a następnie - pochodzących z wyboru wodzów i członków rad. Rząd federalny nadal uznaje jedynie pochodzącą z wyboru radę plemienną, podczas gdy Długi Dom ma równoległy system wodzów i matek klanowych, które mianują wodzów i doradzają im we wszystkich ważnych sprawach.

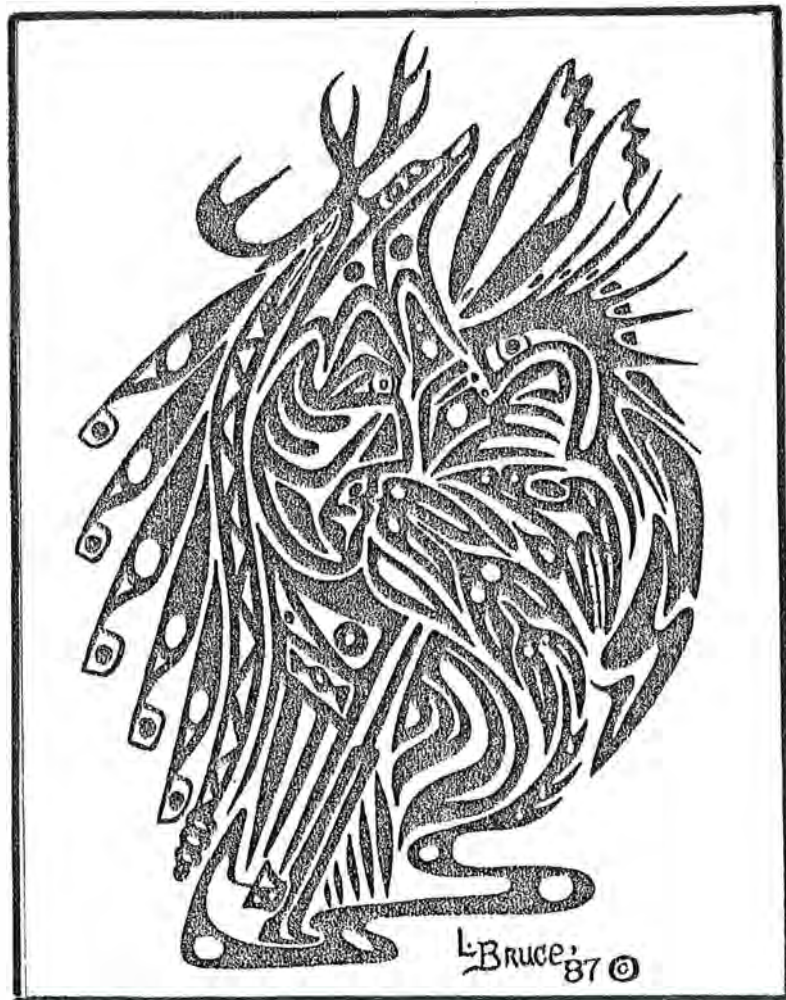
W większości organów samorządowych są już doradcy Długiego Domu, a część ludzi pragnęłaby likwidacji wybieralnej rady i zastąpienia jej rządem Długiego Domu. Uważają oni, że wybieralna rada została im narzucona przez władze federalne w celu ich szybszego zasymilowania. Członkowie krytykowanej rady starają się więc postępować w sposób możliwie tradycyjny, podejmować decyzje jednomyślnie i myśleć przyszłościowo - dawni wodzowie Mohawków byli zobowiązani myśleć o siedmiu następnych pokoleniach. Konflikt między zwolennikami starego i nowego porządku co pewien czas odżywa jednak na nowo.



Jednocześnie rząd federalny zmierza do przyznania Kahnawake - podobnie jak rezerwatowi Akwesasne na granicy Ontario i USA - większej samorządności. Pierwszym krokiem jest oddanie Indianom kontroli nad oświatą, policją i wymiarem sprawiedliwości. Jednak żądania wielu Mohawków idą znacznie dalej. Tradycjonaliści odmawiają udziału w wyborach, bo uważają się za obywateli Narodu Mohawków, a nie Kanady czy USA, lub twierdzą, że przede wszystkim są Mohawkami, a dopiero później - Kanadyjczykami.

Niektórzy Mohawkwie podróżują po świecie z paszportami wystawionymi w rezerwacie Onondagów koło Syracuse w stanie Nowy Jork. Tam znajduje się siedziba władz Konfederacji Sześciu Narodów Irokezów. "Odrzucałem dotąd wszystkie możliwości wyjazdu - mówi wódz Norton - bo nie mam jeszcze paszportu Konfederacji, a posługiwanie się paszportem kanadyjskim jest całkowicie sprzeczne z moimi zasadami".

Indianie grają rządowi na nosie, sprowadzając z USA alkohol i papierosy, i sprzedając je w rezerwacie bez opodatkowania po cenach wolnościowych. Twierdzą, że prawo do swobodnego przekraczania granicy zagwarantował im amerykańsko - brytyjski traktat z 1974 r. (Jay Treaty). Rząd USA uznał to prawo (i dlatego tylu Mohawków tam pracuje), natomiast Kanada nigdy go nie ratyfikowała. Jak dotąd celnicy i policjanci przynikają oko na to indiańskie źródło dodatkowych dochodów. Sprawa wymaga jednak uregulowania.



Dążenie Mohawków do uznania ich za suwerenny naród jest widoczne we wszelkich rozmowach i umowach z władzami. Od pewnego czasu - zamiast spierać się w kolejnych długotrwałych procesach sądowych o niepewnym rezultacie - Indianie dążą raczej do przekonywania wpływowych kręgów politycznych i gospodarczych. Nie chodzi im przy tym o odłączenie się od Kanady, ale o autonomię na własnym terenie i równoprawne stosunki z rządem w Ottawie.

Mohawkwie uważają, że mają prawo do suwerenności, bo byli tu na długo przed Europejczykami. Nigdy też nie zostali podbici ani nie podpisali żadnego traktatu, w którym rzekliby się swoich praw. Byli związani sojuszem z Konfederacją Irokezów i posiadali konstytucję, zwaną Wielkim Prawem Pokoju. W XVIII w. podpisali z Holendrami traktat, znany jako Wampum Dwóch Kursów Łodzi (Two Row Wampum), który zakładał, że Irokezi i Europejczycy będą żyli w pokoju i przyjaźni, rządząc się własnymi prawami i obyczajami.

Mohawkwie dążą do odzyskania 17800 ha ziem położonych na wschód od obecnej granicy rezerwatu. Twierdzą, że pierwotnie były to ich tereny, które znalazły się pod zarządem Jezuitów, a następnie zostały nielegalnie zajęte przez napływających stopniowo białych osadników. Mohawkwie nie dążą do wyrzucenia mieszkających tam dziś ludzi, lecz do uzyskania finansowej rekompensaty i zwrócenia Kahnawake części państwowych nieużytków. W 1984 r. plemię jednostronnie rozszerzyło granice rezerwatu na środek rzeki i zaczęło sprzedawać licencje rybackie i myśliwskie nie-Indianom. Wzburzyło to część lokalnej społeczności białych, ale większość szybko pogodziła się z tym.

Jedną z najtrudniejszych do rozwiązania spraw pozostaje kwestia prawa do bycia członkiem плеienia. Mohawkwie są zaniepokojeni brakiem mieszkań i postępującą "metysacją" rezerwatu. Dlatego nie zezwalają na przekazywanie praw członkowskich dzieciom ani małżonkom, którzy nie są conajmniej w 50 % Indianami. Szczegółowe regulacje władz Kahnawake nie zawsze pokrywają się z przepisami federalnymi. Sprawa budzi więc emocje, dzieląc rodziny i pokolenia, trudno tu bowiem o zadowalające wszystkich rozwiązanie. "Nie możemy po prostu wpisywać ludzi, którzy sądzą, że to romantyczne być Indianinem, bo w ten sposób pozbawiamy się naszej integralności kulturowej" - mówią Mohawkwie. "Nie jesteśmy jakimś klubem, lecz grupą o pradawniej historii i kulturze. Daliśmy się tak rozciągnąć, że musimy chronić naszą indiańskość."

Bliskość trzymilionowej metropolii dała Mohawkom dostęp do wszystkiego, co w białym społeczeństwie najlepsze i najgorsze. Kahnawake uniknęło wielu problemów typowych dla innych, bardziej izolowanych rezerwatów Kanady (choroby zakaźne, wysokie bezrobocie, przestępczość, samobójstwa), ale wciąż stoi przed groźbą utonięcia w powodzi nie-indiańskiej kultury lub po prostu - zalania morzem betonu i asfaltu.

Poza niedzielnymi pokazami tańców, skromnym muzeum dla turystów i ostrzeżeniami na skale obok autostrady, że "To Ziemia Indian!" - niewiele wskazuje na to, że jest to społeczność indiańska. Niewiele pozostało z dawnego stylu życia. Nie ma już myśliwych, bo zabrakło zwierzyny; liczni są za to amatorzy wędkarstwa. Mało jest rolników, choć żyznej ziemi nie brakuje.

Mohawkwie wciąż pozostają podzieleni i - jak mówi wódz Norton - są swoimi najgorszymi wrogami. Głębokie są blizny po konfliktach przeszłości, np. po tym z lat 50., związanym ze stosunkiem do konieczności oddania części rezerwatu pod budowę Drogi Morskiej. Podobnych sporów nie brak także teraz - choćby w sprawie budowy kasyna gry, czy handlu używkami z USA.

Przywódcy społeczności powtarzają często, że powrót do tradycji nie oznacza rezygnacji z samochodów i elektryczności. Chodzi o to, by nie posunąć się za daleko ku asymilacji i nie cofnąć się do punktu, w którym nie będą w stanie współzawodniczyć we współczesnym świecie. Wiele mieszkańców Kahnawake zgadza się z opinią, że najłatwiej jest przejść przez most i zostać Kanadyjczykiem, trudniej zaś - zostać po tej stronie i być Mohawkim. Mimo to dla większości ludzi Krzemienia Kahnawake pozostaje enklawa nadziei, z którą zamierzają wiązać przyszłość swoją i swoich dzieci.

Na podstawie materiałów ze zbiorów Leszka Michałika opracował M. Nowocien



T A W A C I N

PRZEDSTAWIA:

# Incomindios

Internationales Komitee für die Indianer Amerikas

MIĘDZYNARODOWY KOMITET NA RZECZ INDIAN AMERYK - SZWAJCARIA



INCOMINDIOS jest organizacją założoną w 1974 r. w celu moralnego i materialnego wspierania walki tubylczych ludów Ameryki Południowej, Środkowej i Południowej o ich suwerenność polityczną, ekonomiczną i kulturalną. Organizacja dzieli się na trzy grupy regionalne, z siedzibami w Bazylei, Bernie i Zurychu, oraz na dwie grupy robocze (Ameryka Pn. i Łacińska). Jej członkowie (ok. 1000 osób) płacą 50 franków rocznej składki.

INCOMINDIOS pragnie:

1. Honorować traktaty między rządami i indiańskimi narodami, organizacjami i grupami oraz honorować wszystkie prawa Indian;
2. Wspierać tworzenie praw chroniących indiańskie narody, organizacje i grupy przed eksploatacją i dyskryminacją oraz upowszechniać je;
3. Wspierać i szanować indiańskie kultury w celu zapewnienia ich obrony i przetrwania oraz popierać autonomiczny rozwój tubylców;
4. Upowszechniać dążenia indiańskich narodów, organizacji i grup wszelkimi dostępnymi środkami oraz popierać ich zrozumienie;
5. Popierać wymianę myśli i doświadczeń pomiędzy indiańskimi narodami oraz między tymi narodami i innymi ludami świata;
6. Ujawniać niszczące elementy działające w naszym społeczeństwie oraz ich powiązania z podstawowymi materialistycznymi i ideologicznymi strukturami technokratycznej cywilizacji. Ukazywać ich niszczący wpływ na indiańskie kultury w obu Amerykach i - w miarę możliwości - doprowadzać do pozytywnych zmian.

INCOMINDIOS realizuje swoje cele poprzez:

1. Współpracę z indiańskimi narodami, organizacjami, grupami i osobami;
2. Wspieranie międzynarodowych i narodowych praw człowieka oraz innych praw i konwencji dotyczących ochrony środowiska Indian i innych tubylczych mniejszości;
3. Współpracę z organizacjami międzynarodowymi, narodowymi i prywatnymi, których celem jest obrona praw człowieka i środowiska człowieka;
4. Delegowanie obserwatorów i - w razie potrzeby - organizowanie pomocy prawnej oraz publikowanie spraw, w których pogwałcone zostały lub są naruszane podstawowe prawa Indian;
5. Okazywanie wolnego od uprzedzeń poparcia poprzez stałe informowanie o wszystkich aspektach życia Indian i innych tubylczych mniejszości;
6. Okazywanie i organizowanie pomocy finansowej i innej dla programów kulturalnych, oświatowych i gospodarczych tubylczych Amerykanów oraz dla inicjatyw na rzecz ochrony środowiska;
7. Odmowę identyfikacji ze strukturami politycznymi, ideologicznymi, religijnymi i gospodarczymi, szkodliwymi dla interesów tubylczych.

INCOMINDIOS - Szwajcaria:

- informuje opinię publiczną za pośrednictwem imprez z tubylczymi mówcami i artystami, pokazów filmów, wystaw i koncertów, wydawanie biuletynu AGNA News/AGSAM Novedades i współpracę ze środkami przekazu;
- wspiera zbieraniem funduszy tubylcze programy samopomocy, czasopisma i szkoły, kongresy organizacji indiańskich oraz więźniów i uchodźców;
- protestuje za pomocą kampanii listów, telegramów i petycji przeciwko dyskryminacji i niszczeniu tubylczych grup i poszczególnych osób;
- uczestniczy w krajowych i międzynarodowych akcjach na rzecz ludów tubylczych (m.in. konferencje w Genewie, EURO-MEETING - Zurych 1989).

Adres: INCOMINDIOS Schweiz, Postfach, CH-4303 Kaiseraugst, Szwajcaria

# ZIELONE BRYGADY

## PISMO OBRONCÓW ŚRODOWISKA

ZIELONE BRYGADY

PISMO OBRONCÓW ŚRODOWISKA

© no rights reserved

REDAKCJA: Piotr Grzegorzczak (pg)  
Krzysztof Kalarus (kk)  
Wojciech Nitek (wn)  
Piotr Rymarowicz (pr)  
Stanisław Zubek (sz)  
Andrzej Żwawa (aż)

ADRES: Red. ZIELONYCH BRYGAD  
Karasia 3/100  
30 060 Kraków  
tel. 12/336377 w. 234  
fax 12/226306  
tłx 0322297 UJ PL

KONTO: Naukowe Koło Chemików UJ  
Nr konta: 323415 - 1023  
Bank Przemysłowo-Handlowy  
IV Oddział, Kraków

GŁĘBOKA EKOLOGIA

Oto podstawowe założenia głębokiej ekologii wg G. Sessions i A. Naess:

- \* niezależnie od użyteczności dla człowieka lub jej braku, dobro i rozwój każdej formy życia na Ziemi posiada wartość samą w sobie,
- \* bogactwo i różnorodność form życia przyczyniają się do urzeczywistnienia tych wartości i same w sobie też posiadają wartość,
- \* ludzie nie mają prawa ograniczać tego bogactwa i różnorodności, z wyjątkiem szczególnych sytuacji związanych z potrzebami żywymi,
- \* rozkwit życia i kultury człowieka daje się pogodzić z poważnym obniżeniem populacji, rozwój innych form życia wymaga tego obniżenia,
- \* oddziaływanie człowieka na inne formy życia jest obecnie nadmierne i sytuacja ta szybko się pogarsza,
- \* wymaga to zmiany w strukturach ekonomicznych, technologii, ideologii,
- \* główna zmiana w strukturze ideologicznej powinna polegać na zamienieniu wysokiego standardu życia na jego wysoką jakość,
- \* jeżeli podpisujesz się pod tym, to zobowiązujesz się, pośrednio lub bezpośrednio, wprowadzać to w czyn.

ARNE NAESS  
Oslo Universitet  
Inst. for Filosofi  
Postboks 1110  
Blindern, Oslo 3, Norwegia.

GEORGE SESSIONS  
5000 Rocklin Rd.  
Rocklin CA 95677  
USA

I TY MOŻESZ ZOSTAĆ AUTOREM/REDAKTOREM  
APELUJEMY O NADSYLANIE MATERIAŁÓW.

TREŚĆ: szeroko pojęta ekologia. Przede wszystkim krajowa, ale i zagraniczna. Obok informacji z "pierwszej ręki" (od bezpośrednich świadków) mogą być też wycinki z prasy, ulotki, plakaty. OBJĘTOŚĆ: od zdania do kilku stron.

FORMA: dowolna. STYL: również.

PISMO: najlepiej na dyskietce, lepiej maszynowe, wyraźne odręczne też.

AUTOR: absolutnie dowolny, byle się podpisał, podał swój adres i koniecznie zaznaczył, czy są do publikacji.

ZASTRZEGAMY sobie prawo do skracania nadesłanych materiałów i opatrywania ich własnym tytułem.

JESLI CHCESZ pomóc przyjdź w sobotę o 10.00 pod podany obok krakowski adres

BIURIO KONTAKTÓW EKOLOGICZNYCH

Naukowe Koło Chemików UJ w porozumieniu z działaczami innych organizacji i uczestnikami ruchów ekologicznych (Federacja Zielonych, Ruch Wolność i Pokój - Kraków, Ruch Ekologiczno-Pokojowy "Wolę Być", Studenckie Koło Naukowe, Pracownia Na Rzecz Wszystkich Istot) podjęło decyzję o otwarciu jesienią 1989 r. Biura Kontaktów Ekologicznych. Zadaniem Biura będzie ułatwianie wymiany informacji i nawiązywanie współpracy pomiędzy grupami ekologicznymi oraz wspieranie ich działań (w porozumieniu z zagranicznymi i krajowymi fundacjami i organizacjami ekologicznymi).

Cele te będą realizowane poprzez:

- wydawanie biuletynu informującego o bieżących sprawach ekologicznych,
- prowadzenie poczty elektronicznej,
- publikacje propagandowe i oświatowe
- wydawanie pisma w języku polskim i angielskim ("Zielone Brygady" ?),
- bank kontaktów ekologicznych,
- współpracę z Zespołem Rzeczników UJ w badaniach nad środowiskiem.

Biuro i jego urządzenia (sprzęt komputerowy, kserograficzny, telefax) będzie dostępny dla wszystkich ruchów i organizacji ekologicznych Krakowa.

W przyszłości przewidujemy poszerzenie działalności (biblioteka, videoteka, porady prawne). Apelujemy do wszystkich deklarujących wspieranie działań ekologicznych o pomoc. (pr)



"INDIANIE BRAZYLII OGŁOSZĄ WOJNĘ. Jeżeli rząd nie wycofa się z planów budowy 80 zapór w dorzeczu Amazonki" - takimi słowami zaczyna się artykuł "Brazylijskie lasy zaatakowane" pióra Erica Huggarda, zamieszczony w indyjskim magazynie "Dan-Sha" z lipca 1989 r. Autor pisze dalej, że w dorzeczu Amazonki żyje obecnie 220 tys. Indian z różnych plemion. W 1900 r. było ich milion, a czterysta lat temu - 5 milionów.

Resztki Indian obecnie żyjących walczą o swoje przetrwanie i o przetrwanie swoich lasów tropikalnych. W ostatnim czasie rząd brazylijski otworzył dorzecze Amazonki dla "postępu", co spowodowało zniszczenie od 5 do 25 % lasów. Władze zachęcają wielu obywateli z biedniejszych części kraju do osiedlania się nad Amazonką. Na dodatek, rząd chce wybudować 80 zapór i zalać miliony akrów lasów tropikalnych.

Indianie Amazonii nie mogli biernie patrzeć na ten "postęp" i zorganizowali się do walki o swoją ziemię. Podróżowali po Europie, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, naciskając Bank Światowy, aby wstrzymał pożyczki dla Brazylii. Wódz Indian Kayapów, Paikan, udał się do Kanady, gdzie spotkał się m.in. z ministrem finansów tego kraju.

W styczniu 1989 r. odbyła się konferencja z udziałem 800 wojowników amazońskich oraz zagranicznych gości, która miała na celu opracowanie strategii walki. Konferencja ta odbyła się w Altamira, w stanie Para, gdzie rząd przewidywał wybudowanie jednej z zapór. W naradzie brała udział delegacja kanadyjskich Indian Kwakiutl i Haida, ubranych w tradycyjne stroje. Śpiewali oni i grali na bębnie, co wywarło na miejscowych Indianach duże wrażenie, bowiem władze brazylijskie mówiły im, że w Ameryce Północnej nie ma już Indian praktykujących swoją kulturę.

Na konferencji przemawiał też przedstawiciel rządu. Kiedy skończył, podeszła do niego Indianka z maczetą i powiedziała: "Opowiedziałeś nam bezwartościową historię" i poklepała go maczetą po policzkach. Artykuł kończy się słowami: "Rząd Brazylii powinien zrezygnować z zapór, bo inaczej będzie musiał walczyć z ostrą krawędzią tej maczety".

O tym, że Indianie nie żartują, świadczy następujący fragment artykułu z czasopisma "Kahtou" z kwietnia 1989 r.: "Paikan zorganizował inwazję 125 wojowników na kopalnię złota zatrudniającą 5 tysięcy pracowników. Kayapowie dotarli do osady w nocy i podzielili się na kilka grup. Pierwsza opanowała wartownię i karabiny maszynowe, druga - przejęła kontrolę nad pasem startowym i samolotami, a trzecia otoczyła śpiących górników. Teraz za prawo do eksploatacji kopalni Indianie pobierają pieniądze, wzbogacając fundusz walki politycznej Kayapów."

Za przegląd prasy Indian dziękujemy Wiesławowi Kotłeczkowi ze Zgierza.

© Alex de Moura King

## YANOMAMI : Kiedys nie było tu białych ludzi...

Iwanildo Wawnaweytheri, 34-letni Indianin Yanomami, tak opowiada o tym, jak zmieniła się sytuacja po pojawieniu się białych ludzi na ziemiach jego plemienia:

"Kiedys nie było tu białych ludzi, nie było samolotów, a na Ziemi byli tylko Yanomami. Wiadomo, że Yanomami mają swojego boga i że biali ludzie też mają swojego boga. I przyszedł czas, kiedy bóg białego człowieka stworzył Naba.

Nasz bóg, Omama, żył razem z Yanomami, kierował ich życiem. Kiedy czasy się zmieniły, pojawił się Naba, zaczęły latać samoloty, a na rzecze pojawiły się łodzie. Było to wtedy, kiedy wśród Yanomami zaczął pojawiać się Naba. Przedtem nikt nie cierpiał od chorób, Yanomami żyli szczęśliwie i mieli zawsze dużo pożywienia, a dzieci nie cierpiały tak, jak teraz. Wtedy Yanomami stali się smutni, a Omama odszedł.

Teraz moi ludzie są przekonani, że nadejdzie czas, kiedy nie będzie już Yanomami. I badzo martwią się z tego powodu. W Surucucu, gdzie nigdy dotąd nie było białych, każda choroba, nawet łagodna grypa, zabija Yanomami. Oni są bardzo słabi. Wiedziałem już wiele smutku."

12 grudnia 1988 r. Francisco "Chico" Mendes, 44-letni przewodniczący Związku Zbieraczy Kauczuku z Xapuri, został zastrzelony przez hodowców bydła. Chico Mendes był autorytetem moralnym szanowanym przez współmieszkańców lasów tropikalnych, znanym szeroko obrońcą środowiska, laureatem przyznawanej przez Organizację Narodów Zjednoczonych prestiżowej nagrody "Global 500". Swoje życie poświęcił budowaniu sojuszu między zbieraczami kauczuku i tubylczymi ludami Amazonii - ofiarami zniszczenia lasów tropikalnych.

Chico Mendes powiedział kiedyś: "Sądzę, że sojusz, który zaczynamy budować jako sojusz ludzi zamieszkujących lasy deszczowe, jest jednym z najważniejszych kroków w naszej walce w obronie Amazonii.

Przez ponad 100 lat zbieracze kauczuku byli traktowani przez swoich szefów jak niewolnicy - wykorzystywano ich przeciwko Indianom, zmuszano do masakrowania pełnoprawnych właścicieli tych lasów. Teraz następuje ważne przebudzenie; Indianie i SERINGUEIRO odkrywają, że nie są wrogami - prawdziwymi wrogami byli ci, którzy wywołali ten konflikt - i że obecnie prawdziwymi wrogami są ci, którzy dewastują nasze lasy deszczowe - ci, którzy chcą wykończyć Amazonię."

Amerkańskie wytwórnie filmowe oferują kilkaset tysięcy dolarów za prawo do nakręcenia filmu o życiu Chico Mendes. Idee, które wyznawał, zamierza propagować powstała przy nowojorskiej Fundacji Ochrony Środowiska nowa fundacja jego imienia.

Prezydent Brazylii Jose Sarney postanowił odwołać podjętą dwa miesiące wcześniej decyzję i otworzyć ziemię, które pierwotnie zarezerwował dla Indian Yanomami. Dekret 250 z 18 listopada 1988 r. anulował "stałe posiedlanie" przez Indian Parku Narodowego i dwóch Puszczy Państwowych, utworzonych na ich ziemiach. W zamian przyznano Indianom jedynie pewne "preferencje".

Yanomami są największą grupą tubylczą, żyjącą nadal w izolacji. Obecne decyzje mogą odebrać im 70 % terytorium. Rząd wyznaczył dla Yanomami 19 "kolonii indiańskich", ale nie zapewniał im wędrownemu plemieniu żadnej ochrony przed inwazją 40 000 białych ludzi.

Obserwatorzy twierdzą, że decyzja prezydenta Sarneya ma na celu umożliwienie masowego wydobycia złota, uranu i innych surowców strategicznych, które odkryto na ziemiach Yanomami. Już teraz wiele rzek zostało zatrutych, Indianie nie są uodpornieni na choroby przywiezione przez górników i wojskowych, zaś rząd usunął z całego rejonu wszystkich lekarzy, misjonarzy i członków Komisji do Spraw Utworzenia Parku Yanomami. W obronie Indian i ich środowiska prowadzona jest szeroka akcja w wielu krajach.

Przywódca amazońskich Indian Davi Yanomami jest drugim po Chico Mendesie działaczem na rzecz ochrony lasów tropikalnych, uhonorowanym przyznaną przez ONZ nagrodą ekologiczną "Global 500".

Podczas uroczystości wręczenia nagrody Davi Yanomami powiedział m.in.: "Dzięki tej nagrodzie jestem silniejszy. W moim plemieniu Yanomami jesteśmy zacofani, prymitywni i wszyscy biegamy nago. Nie urodziłem się po to, by żyć w mieście. Wychowałem się w puszczy i nigdy nie opuszczałem domu, w którym urodziłem się i wychował moi rodzice.

Wiedziałem, że poszukiwacze złota przyjdą kiedyś na moją ziemię. Wiedziałem, że FUNAI pozwoli poszukiwaczom złota na ten najazd. Indianie prosili FUNAI o usunięcie poszukiwaczy, ale nie zrobiono nic. Nie jestem przeciwko poszukiwaczom złota. Jestem przeciwko poszukiwaniu złota, bo powoduje to robienie dziur, niszczenie rzek i kanałów. Yanomami tego nie robią - nie niszczą roślinności, nie wycinają drzew, nie palą puszczy. Nie jesteśmy wrogami przyrody. Biała biedni ludzie także cierpią. Nie mają ziemi pod uprawę, nie mają gdzie żyć.

Większość moich bliskich nie wie jeszcze, że otrzymałem tę nagrodę. Jesteśmy tak rozproszeni, że nie jest łatwo skomunikować się. Dowiedzą się wtedy, gdy do nich przyjadą. Ale mam innych bliskich, którzy bardzo martwią się o mnie. Szamani, którzy mnie chronią, bardzo martwią się o mnie, bo jestem jedynym, który broni ludu Yanomami. Więc starają się, żeby nie przytrafiło mi się to, co Chico Mendesowi. Oni są także wojownikami, którzy są po mojej stronie i opiekują się mną. I to chciałem powiedzieć."



# EL VIENTO CANTA



FOR THE POLISH MOVEMENT OF INDIAN  
FRIENDS WITH LOVE

FROM  
EL VIENTO CANTA

*Jelando Cortes*  
*Miguel Cortes* *Miguel*  
*Roxana V. Hadden*  
*Claudia Cortes*  
*Bernie Cortes*

PARA EL MOVIMIENTO TOLABO-INDIO  
CON AMOR, DE EL VIENTO CANTA

Grupa EL VIENTO CANTA ("Śpiew Wiatru") powstała w 1987 r. w Izraelu jako odpowiedź na apel ONZ w związku z dekadą współpracy kulturalnej. Koncertowała dotąd w 14 krajach Europy Zachodniej i na festiwalach w Afryce, zaś w styczniu 1990 r. rozpoczęła tournée po krajach Europy Wschodniej.

## WYKONAWCY:

CESAR CORTES - ur. w 1960 r. w Huancayo (Peru) - zampoña, quena, gitara  
MIGUEL CORTES - ur. w 1963 r. w Huancayo - zampoña, instr. perkusyjne  
ROLANDO CORTES - ur. w 1959 r. w Huancayo - charango, zampoña, gitara  
ROXANA HADDEN - ur. w 1960 r. w Trujillo (Peru) - gitara  
DAVID HADDEN - ur. w 1964 r. w USA - quena, zampoña  
CLAUDIA CORTES - ur. w 1965 r. w Meksyku - instr. perkusyjne, gitara  
CONRAD EWART LAMBERT - ur. w 1963 r. w Anglii - gitara, zampoña  
LARISA CORTES - ur. w 1966 r. w USA - manager  
BERNADETTE CORTES - ur. w 1967 r. w Lichtensteinie - quena, zampoña

## INSTRUMENTY:

Zampoña - zestaw trzcinowych rurek różnej długości, wydających dźwięki podobne do dźwięku wiatru, tradycyjny instrument andyjski  
Quena - flet wykonany z trzciny lub - dawniej - z kości kondora  
Charango - andyjska odmiana niewielkiej mandoliny o wysokich dźwiękach, wykonana z drewna lub skorupy pancernika  
Bombo - dwustronny bęben o stłumionym dźwięku podobnym do bicia serca  
Cajon - kwadratowy bęben o głębokim wibrującym dźwięku

Informacje od grupy uzyskały i nadesłały nasze korespondentki z Radomia

EL VIENTO CANTA rozświetla scenę wybuchem słonecznej żywiołowości w trakcie przedstawień tętniących życiem i energią. Ich występy zachwycają oczy i wznoszą ducha. Wykonawcy są młodzi, atrakcyjni, utalentowani muzycznie. Wypływa z nich przekonanie, że muzyka ma zdolność przełamywania barier i uprzedzeń dzielących ludzi. U podstawy tego przekonania leży religia Baha'i, której wyznawcami są członkowie zespołu. Choć wywodzą się z różnych kręgów kulturowych i reprezentują różne rasy, są przykładem zasady religii Baha'i - zasady jedności w różności. Czas spędzony ze "Śpiewem Wiatru" to doświadczenie na nowo rozgrzewające serce. Z zespołem rozstajemy się z uczuciem odrodzonego optymizmu wobec przyszłości naszej planety i triumfu ludzi dobrej woli nad siłami niosącymi destrukcję. ----- Roger White, pisarz

Otrzymałmśmy podpisane oświadczenie leśniczego z terenu ubiegłorocznego Zlotu PRPI, z którym postanowiliśmy Was zapoznać:

„Ja, niżej podpisany, oświadczam iż po Ogólnopolskim Zlocie Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian zostały wywiezione tyczki, a wszelkie głady umożliwiające rozpoznanie pojazdu i kierunku wywozu - zatarte gałęziami.

W toku postępowania wyjaśniającego tyczki zostały odnalezione we wsi Boroszewo; zostały one sprzedane przez członków grupy gdyńskiej /nazwiska do wiadomości redakcji/. Sprzedaż tyczek motywowali w sposób następujący: „płaciliśmy wpisowe, więc tyczki są nasze”. Na sprawców zostały nałożone mandaty karne”.

Jacek Szczygielski, leśniczy

GRUPA CHODZIESKA DEMENTUJE WSZELKIE POGŁOSKI MNIEJ LUB BARDZIEJ PRAWDZIWE NA TEMAT ORGANIZACJI TEGOROCZNEGO TJ. XIV ZLOTU PRPI. UWAŻAMY, IŻ NA ZORGANIZOWANIE ZLOTU LUB INNYCH SPOTKAŃ W WIĘKSZYM GRONIE NIE MA WARUNKÓW NATURALNYCH.

Zawiadamy, że grupa chodzieska formalnie jako klub zaprzestała działalności, jednakże spotykamy się nadal i działamy na zasadach czysto przyjacielskich.

WILKI - DAKOTA

Chodzież

